DAWID.

OBRAZEK Z ŻYCIA ŻYDÓW TEGOCZESNYCH

PRZEZ

Malwinę Meyersohn.

Odbitek z pisma tygodniowego
„**IZRAELITA**.“

WARSZAWA.
Nakładem S. Silbersztejna

w Drukarni J. Goldmana.

1869.

DAWID.

OBRAZEK Z ŻYCIA ŻYDÓW TEGOCZESNYCH

PRZEZ

Malwinę Meyersohn.

Odbitek z pisma tygodniowego
„**IZRAELITA**.“

WARSZAWA.
Nakładem S. Silbersztejna.

w Drukarni J. Goldmana.

1868.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ.

Варшава, 17 Мая 1868 года.

Od Wydawcy.

Niniejszą powiastkę, oryginalnie przez p. Meyersohn skreśloną, postanowiłem, za pozwoleniem szanownej Autorki i Redakcji „Izraelity,“ ze szpalt tegoż pisma w formie oddzielnej książki dać odbić, a to celem umożebnienia jej nabycia tym, którzy rzeczonego czasopisma nie posiadają, lub posiadają nie w komplecie. Obrazek ten, tak wiernie i udatnie stosunki izraelskiego społeczeństwa w Królestwie Polskiem zamieszkałego malujący, który tak dla swej tendencji, jako i wybornego obrobienia zyskał sobie u czytają-

cej publiczności powszechną pochwałę, zdawał mi się być godnym szerszego rozpowszechnienia i trwalszego w literaturze bytu, aniżeli karty czasopisma zapewnićby mu zdołały.

Samuel Silbersztejn.

I.

Biblja i Talmud.

— Kara Boska! Otoż siedzi i gapi się na sufit, a księga święta otwarta przed nim.—Tak zawołał, wchodząc do swego mieszkania, stary Benjamin Rothman, szkolnik miasta S...

A gniewne te słowa odnosiły się do pietnastoletniego syna jego Dawida, którego zastał nad starym i pożółkłym foljantem, ale z oczyma tak uporczywie wlepionemi w belki nędznej swej izdebki, jakby hieroglify studjował, które dym i sącząca się wilgoć na nich porysowały.

Ofukniony w ten sposób młodzieniec zadrżał, rumieniec oblał delikatną twarz jego i, zwróciwszy oczy na leżącą przed nim księgę, zaczął kiwać głową i poruszać ustami. Ale znać było, że jeśli po cichu wymawiał jakie słowa, to myśli jego daleko od nich błądziły.

— Wiem już teraz, jak się uczysz obłudniku! — mówił dalej z gniewem Benjamin.—A jednak śmierci bym się pierwej spodziewał, niż tego, com dziś o tobie usłyszał!

— O mnie?—przerwał młody chłopak z przestrachem—cóżby o mnie złego powiedzieć mogli?

— Patrzcie jakie mi niewiniątko! Niby to nie domyśla się, o co chodzi! Sądziłeś pewnie, że nikt na ciebie nie zważał! Czyż nie wiesz, że grzeszne postępki tak jak oliwa na wodzie zaw-

sze na wierzch wypływają i prędzej czy później zasłużoną odniosą karę?

— Na miłość Boga, ojcze! powiedz, o co mnie obwiniają?

— Siedziałem sobie dziś spokojnie w Bethhamidrasz, gdy przychodzi pobożny reb Chaim i powiada do mnie: „Słuchajcie Benjaminie, śledziłem pilnie waszego syna i mówię wam, żebyście go z oka nie spuszczali, bo już od roku nie miał Talmudu w ręku i wyjść może na *apikojresa* (heretyka).“ A ja na to: „Bóg z wami reb Chaim! przecież chłopak ciągle uczy się w Bethhamidrasz,“ on zaś odpowiada: uczy się tylko Biblji i takie bezbożne nad nią robi uwagi, że włosy na głowie powstają, a nieraz w sam czas Minchy i Maarew (modlitwy wieczorne) znika mi z oczów i idzie Bóg wie dokąd. O! jakiś duch nieczysty w niego wstąpił od niejakiego czasu!

— Dla czegoż reb Chaim tak mówi?—zawołał, zrywając się z siedzenia, Dawid,—czyż Biblja nie jest pierwszem i najświętszem słowem Bożym? I czyż to grzechem być może rozmyślać nad słowami świętych królów i proroków, aby pokochać Boga całą duszą, jak oni go ukochali?

— Piękneś się ztąd nauczył Boga kochać, kiedy nawet o Minchy i Maarew zapominasz! Ale powiedz mi nieszczęsny! na co ty to wszystko robisz? Jakąż korzyść odnieść możesz z zaniedbania Talmudu, który jedynie dać może pomyślność w tem życiu i wieczne szczęście w przyszłem? Cóż się stanie, jeśli krawiec Szmul dowie się o twych sztukach i rozerwie projektowany szydech (związek) ze swą córką?

Dawid ze spuszczonemi oczyma słuchał pytań ojca, nie odpowiadając na nie, a szkolnik jeszcze bardziej rozdrażniony tem milczeniem, przystąpił do niego i, potrząsnąwszy nim, zawołał groźnie:

— Radzę ci, abyś się odtąd pilnie zajmował Talmudem i nie robił głupich uwag i zapytań w Bethhamidrasz, jeśli nie chcesz, aby szalona głowa twoja spotkała się z tym oto młotkiem — i wskazał na leżący obok młotek, którym zwykle zwoływał wiernych Izraelitów na modlitwę.

— Ależ ojcze, ja ci się wcale nie myślę sprzeciwiać!

— Myślisz czy nie, bądź pewnym, iż potrafię temu zaradzić!—wykrzyknął Benjamin wychodząc i zatrzasnął za sobą drzwi, aż kruche drewniane ściany i szyby jedynego okienka zadrżały, niby żałosny wydając jęk.

Po wyjściu ojca, Dawid upadł na ławkę, zakrył twarz rękami i dwie łzy zrosiły blade jego lice. — Przed oczyma duszy jego przesunął się obraz spokojnych dni dzieciństwa. Widział się w chederze (szkółce elementarnej), gdzie z natężoną uwagą słuchał wykładu starego *Melameda* (nauczyciela), a dziecinna głowa marzyła tylko o nabywaniu głębokiej nauki zakonu, aby z czasem podobnymże stać się Melamedem. A jednakże, ledwie czternastą przeżył wiosnę, a już błogi ten spokój na zawsze opuścił młodociane serce, a miejsce jego zajęły inne nieznane dotąd pragnienia. Uczuł się jakby skrępowanym w więzach jednostajnego życia nauki, i często myśli wybiegały po za granicę znajomego mu dotąd świata. Wtenczas to spragniony rzucił się do Biblji,

w nadziei znalezienia tam klucza do cudownych tajemnic, które przeczuwał.

Jakżeż odmiennem było życie tętniące w tej świętej kronice Izraelskiego narodu, to życie walk, czynów bohaterskich i boskiego natchnienia, od ponurego ascetyzmu, który zewsząd go otaczał! Tu były olbrzymie postacie proroków, co wysokością ducha swego wznieść się potrafili aż do tronu Przedwiecznego: król Dawid, ten pasterz-artysta a później wzniosły bohater-poeta, który młodzieńcem jeszcze swą lirą wybuchy dzikiego Saula poskramiał, a potem myśli swoje wyśpiewał w szczytnych psalmach do Boga Stwórcy; tu legła także pieśń erotyczna króla Salomona (Szyr Haszyrym), która, acz nie zupełnie dlań zrozumiała, dziwnie jednak zajmowała młodzieńczą wyobraźnię.

Ale niedosyć na tem. Siedząc raz w piątek poprzedzający *Szabes szkolim*, w Beth hamidrasz, Dawid ujrzał wielkie zbiegowisko na ulicy i ciekawy, co to znaczyć miało, dowiedział się od kolegów, że tłum uliczny chciał zobaczyć dubieńskiego kantora, który właśnie tędy przejeżdżał. Za chwilę weszło kilku mężczyzn, którzy opowiedzieli, że kantor nie odjedzie już dzisiaj, bo gmina go zatrzymała i przyrzekła mu dwadzieścia rubli za odprawienie jutrzejszego nabożeństwa w głównej synagodze.

Od niepamiętnych już czasów, miasto S... nie zostało zaszczyconem obecnością tak znakomitego gościa; młodzież więc wypytywała się starszych o powierzchowność i zalety sławnego podróżnego.

— W czemże on się różni od tutejszego śpiewaka? zapytał między innemi Dawid.

— Piękne mi pytanie! Wszak gardło jego to czysty flet, a śpiewa, jakby sam król Dawid grał!—odezwał się zapytany.

Jutro więc usłyszeć miał głos, przypominający lirę królewskiego psalmisty. Ale któż jest ów szkolny artysta, co tak śpiewać umie? Zkądże on się tego nauczył? Gdzie jest ten cudowny świat, w którym istnieją jeszcze podania Dawidowych melodij i jakież do niego prowadzą drogi?

Otóż myśli i pytania, które się nasuwały młodemu chłopakowi, podczas wieczornej modlitwy (*Kabolas Szabas*), patrząc na imponującą postawę obcego śpiewaka, który, w swym szerokim jedwabnym talarze i pięknej elkowej czapce, wydawał mu się wyższą jakąś istotą.

Nazajutrz, lud napełniający nietylko Synagogę, ale i przyległą ulicę, przysłuchiwał się z zachwyceniem pięknemu śpiewowi kantora i jego chóru.

A Dawid?

Nie stanąłże on teraz u wrót tej krainy harmonji i światła, o której tak dawno już marzył?

W Ahawo Rabo Ahawtonu „wielką miłością Tyś nas ukochał, Panie!„ rozległy się dźwięczne głosy pod wysokie sklepienia świątyni, budząc w młodym i zaniedbanym chłopcu drzemiące dotąd wyobrażenia, a nadewszystko uczucie nieograniczonej miłości dla tego Ojca w niebie, który lud jego tak ukochał.

Nabożeństwo przeciągnęło się do drugiej po południu i choć Dawid nic jeszcze nie miał w u-

stach, nie czuł jednak głodu i nie tknął się prawie smacznych potraw, które go po powrocie z synagogi czekały u stołu bogatego reb Mordki, gdzie co sobotę był zaproszonym.

Od tego czasu Dawid dniami całemi myślał tylko o dubieńskim kantorze i o lirze króla Syonu, a w nocy, rozmarzona fantazja czarowną go nieraz mamiła muzyką, której napróżno potem szukał na jawie. Czemżeż teraz była dla niego owa upragniona dawniej nauka Talmudu? Roztargniony słuchał wykładu nauczycieli, odpowiadając czasem dziwnie na czynione mu zapytania, a wieczorem błąkał się po ulicach, zapominając nawet o przepisanej modlitwie.

Przez cały rok jednak ojciec nie uważał na zmieniony tryb życia jedynaka, i dziś poraz pierwszy dopiero tak surowo do niego przemówił.— Poznał teraz Dawid, jak postępowaniem swojem zasmucił ukochanego ojca, i z wyrzutem zapytał sam siebie, dla czego tak jak dawniej nie oddaje się nauce? zkąd ten wieczny niepokój, to wymaganie nieznanego szczęścia, które piersi mu rozrywa.

II.

Surusia.

Jeśliś kochany czytelniku przejeżdżał, lub co gorzej, przechodził przez labirynt żydowskich uliczek miasta powiatowego S..., toś niezawodnie uderzonym został nieregularnością tych domów, zdających się we wiecznej żyć z sobą niezgodzie.

Tu każdy dom nietylko, że ma niepojęty jakiś wstręt do zbliżenia się do swego sąsiada, że żadną miarą nie chce być do niego podobnym, odróżniając się, to szczególnego kształtu dachem, to jakimś niby balkonem, ale często jakby na przekór, tuż przed oknami kolegi roztacza tylne swe mury, nagie i smutne, jak pochmurny dzień zimowy.

A jednakże, mimo tej mało-obiecującej powierzchowności, z otwartych okien domu, należącego do bogatego krawca Szmula, słyszymy wychodzące w tej chwili głośne śmiechy i śpiewy kilku na raz młodych głosów. Odmykamy drzwi i widzimy się w obszernej izbie o dwóch oknach, starannie wybielonej. Przed nami tuż przy drzwiach stoi para czerwonych łóżek, na których wysoko napiętrzona pościel w niebieskie pasy dotyka się prawie nizkiego sufitu. Około nich na komódce, także czerwonej, znajduje się szklana szafka, z której wyglądają ustawione szeregiem srebrne kubki i kieliszki różnej wielkości, para srebrnych lichtarzy i takaż rączka do Rodałów (Jad), które, tak jak porozwieszane na jednej ścianie miedziane garnki i rądle, świadczą o zamożności gospodarza. Drugą zaś ścianę zdobią pożółkłe portrety Rabi Eliasza Gaon i Rebi Jakóba Eger, między któremi wisi mosiężna lampka o ośmiu światłach, służąca na święta Machabeuszów (Chanuka lampa).

Na środku izby, pod mosiężnym także pająkiem szabasowym, mieści się okrągły stół zarzucony kawałkami materji, fiszbinów i podszewki, a przy tym stole siedzi trzech młodych chłopców, zajętych robotą damskich ubiorów. Niedaleko

od nich, ubrana w krótką watową spódniczkę ze stanikiem bez rękawów, młoda i przystojna dziewczyna stoi przy małem lusterku, przyklejonem do ściany, uśmiechając się z zadowoleniem i przymierzając sobie prawdziwe choć drobne perły i djamantowe kolczyki; a przy komodzie siedzi, robiąc pończochę, otyła kobieta w średnim wieku, której wzrok pewny, zwracający się często to na młodą dziewczynę, to na krawczyków, zdaje się mówić: ja tu jestem gospodynią!

— Dosyć na teraz Surusiu!—odezwała się kobieta—schowaj już perły i kolczyki. Jak będą *Tnoim* (zaręczyny) z Dawidem, to już co sobotę będziesz się mogła w nie ubierać.

— Patrz Ruben!—mówił jeden z młodych chłopców, przerywając robotę i patrząc na młodą dziewczynę,—co za szkoda, że ta ładna Surusia dostanie się Besmedresznikowi, który zgarbiony nad Gamarą (talmudem), nawet na nią nie spojrzy.

— A ja jego wolę niż krawczyka—odezwała się uszczypliwie dziewczyna.

— Jaka mi *Mejucheses!* (arystokratka)—odpowiedział na to Ruben,—gdyby nie było bogatych krawców na świecie, toby Besmedreszniki nie dostawali ładnych dziewcząt z perłami i kolczykami.

— Już to najlepszy kąsek zawsze się dostanie tym *szlamazalnikom* (niedołęgom)—szepnął trzeci krawczyk.

— Cicho bądźcie, hultaje — zgromiła ich pani Szmulowa, a młoda dziewczyna, widocznie obrażona, przybliżyła się do otwartego okna.

Po chwili Ruben, widząc, iż Surusia z zajęciem wyglądała na ulicę, wstał od roboty i, wychyliwszy się także za nią, spostrzegł przechodzącego właśnie młodego syna szkolnka, Dawida, który przypadkiem czy naumyślnie spojrzał także w górę.

Na ten widok Surusia zarumieniła się i Ruben zaśpiewał w języku żydowskim:

Gdzie ten kawaler co mnie chciał *),
Co mnie chustkę obiecał?
Ot stoi za lasem,
Trzyma chustkę za pasem.

— A to naprawdę nasz Besmedresznik! Patrzcie jak on oczkami strzela do góry. A fe! mości panie, nie wypada tak pobożnemu zerkać na ładne dziewczęta:

Bo ty jeszcze nie mój,
A ja jeszcze nie twoja,

śpiewał dalej krawczyk.

— Dla czego nie?—przerwała, rumieniąc się jeszcze więcej dziewczyna, — wszak na przyszły tydzień już będą Tnoim.

— Wstydziłabyś się Surusiu! — odezwała się krawcowa — cóżby to ludzie gadali. —Przecież twój narzeczony *chusyd*, a nie rzemieślnik jaki! czyż to wypada, abyś tak za nim patrzała?

Młoda dziewczyna otworzyła usta, chcąc pewnie coś powiedzieć, gdy drzwi się otworzyły i wszedł żyd słusznego wzrostu, lat około czterdziestu, z czarną brodą i pospolitemi rysami twa-

---

*) Śpiewka ludowa żydowska.

rzy, a za nim tłusty mały człowieczek, którego okrągła i ruchliwa figurka, włosy i broda jasnoblądd dziwną czyniły sprzeczność z postawą pierwszego.

— No Surusiu! proszę tymczasem dać wódeczki na rachunek przyszłych Tnoim,—odezwał się siadając później przybyły, którego pejsy w nieładzie, futrzana czapka przecięta na dwoje (łappenhut) a szczególnie mimo pogody zaszargana kapota, z której z dołu rozdarte wisiały gałgany, odrazu zdradzały *Szadchena* (układającego małżeństwa).

— Kto wie czy z tego co będzie mości Janklu! odezwał się pierwszy.

— Z czego? z wódki?

— Nie, z Tnoim, o których mówicie.—Dziwne dziś rzeczy słyszałem o tym Dawidzie.

— Jeśli co złego, plućcie na to Szmulu, pewnie wrogi wasze jakieś tam potwarze wymyślili na Dawida, bo ledwo nie pękają z zazdrości, widząc, iż tak uczonego dostajecie zięcia, który z czasem może się stać tutejszym rabinem.

— Być może!—mówił na wpół już przekonany Szmul—ale zawsze już tak prędko ich nie zaręczę, bo, dając oprócz posagu jeszcze samemu szkolnikowi trzysta złotych, muszę być bardzo ostrożnym.—Broń Boże jakiego nieszczęścia, to szydech można rozerwać, ale pieniądze przepadły.

— Cóż takiego słyszałeś o Dawidzie?—zapytała niespokojnie Szmulowa.

— Jeszcze nie wiem nic pewnego, ale mówią, że od niejakiego czasu bardzo się zmienił,

że nawet przestał być pobożnym i niezupełnie zdrowy ma rozum.

— O urzekli go! urzekli z pewnością! —zawołała, załamując ręce krawcowa.—Już nie spiesz się z zaręczynami, na miłość Boga, aż będziemy u *Rebi* i zapytamy się, czy Dawid jest przeznaczonym od Boga (zyweg) dla Surusi.

— Dobrze mówisz Brandlo, niezwłocznie po zielonych świątkach wyjedziemy.

Jeszcześ ty nie mój,
Jeszcze ja nie twoja,

śpiewał krawczyk, patrząc z tryumfem na zbladłą twarz Surusi.

III.

Szyr Haszyrym.

Bethamidrasz miasta S... jest to nieforemna przestrzeń o wązkich jakby więziennych okienkach, rzucających w tej chwili małe światło na mury jego, okryte grubą warstwą pajęczyny. Znajdująca się na ścianie wschodniej arka święta, zaniedbaną powierzchownością i brudną wypłowiałą firanką (porojches) nie przypomina wcale wspaniałego pierwowzoru swego w namiocie świętym na pustyni.

Na ławkach wzdłuż ścian siedzą w rozmaitych, nie koniecznie estetycznych pozycjach, uczący się, którzy, kiwając głową, głośno i monotonnie recytują słowa Talmudu. Przy zawilszych tylko kwestjach, wymowna mimika i gestykulacja rąk ubarwia tę jednostajność ruchów i głosu. Ale

nie wszyscy obecni zajmują się nauką. Na głównem miejscu widzimy stojących mężczyzn rozmaitego wieku, których głośna i ożywiona rozmowa zdradza głębokie zajęcie.

— „Ja wam mówię, iż wasz rebe nie wart rzemyka rozwiązać u trzewików naszego — mówi jeden.

— Żebyś mi się nie ważył takie rzeczy gadać o naszym Cadyku—odpowiada drugi.

— Tak? Albo to twój Rebe coś tak wielkiego?

— Tylko co? Mało to on opętanych wyleczył jednem słowem swojem, albożnie on to wskrzesił umarłe już dziecko przekupki Chai, położywszy świętą rękę na jego głowie.

— To nie on zrobil, to rebe z B...., do którego i ja należę. Gabe (adjutant) jego sam mi to powiedział.

Twój gabe tak mało zasługuje na wiarę jak ty i wszyscy twoi.

Na tę odpowiedź, tak mocno obrażającą wszystkich chussydów rebi z B.... niemniej jak ich obrońcę, dysputa przemieniła się już w ogólną kłótnię, w której ucząca się starszyzna zmuszona była brać rolę rozjemców a młodsi, niemniej zabawną pewnie, gapiącej się publiczności.

Wkrótce jednak zdołano pogodzić zwaśnionych, którzy zawarli przymierze oblane obficie okowitą i pokój na teraz przywróconym został między różne stronnictwa Bethhamidrasz."

Przez cały ciąg tej wrzaskliwej rozmowy, z pomiędzy obecnych jeden tylko młody chłopak nie

brał udziału w ogólnem poruszeniu. Był to znajomy nam już Dawid, siedzący przy okienku i wyglądający, jak się zdawało, z ciekawością na ulicę. Twarz jego regularna i delikatna, okolona długiemi lokami kruczych włosów, wielkie czarne oko przymglone w tej chwili jakąś myślą lub tęsknotą, czoło, którego włosy, ogolone z przodu, i brudna aksamitna jarmułka w tył zasunięta, zeszpecić jednak nie zdołały—tworzyły całość głowy zadziwiającej piękności. Ale stojący naprzeciw i wpatrujący się w niego żyd z ryżą spiczastą bródką nie był snać zadowolony tym widokiem, bo, zmarszczywszy brwi, przybliżył się do siedzącego i zapytał:

— Cóżeś tam tak pięknego widział na ulicy, Dawidzie, że nawet krzyki i hałasy kłócących się od okna oderwać cię nie potrafiły? —

Dawid, zapomniawszy o przestrogach ojca, odpowiedział.

— Widziałem tylko słońce zachodzące tak czerwono i pięknie tam za synagogą i przyszło mi na myśl, iż teraz musi być ta pora roku, o której Król Salomon mówi swej kochance (*): iż „zima przeszła, deszcze usechły, kwiaty kwitną, a pora pieśni nastała.“—

— Już zupełnie rozum straciłeś Dawidzie! Któż ci znowu mógł wsadzić do głowy, iż w pieśni nad pieśniami (Szyr Haszyrym) mowa jest o jakiejś ziemskiej kochance? Wszak Kochankiem w tej pieśni jest sam Przedwieczny, a ową *Sulamith*—zgromadzenie Izraela (Kneseth Israel). Wszystkie zaś te opisy natury i piękności kobiecej są tylko *Meszulim* (allegorje), których praw-

dziwe znaczenie święci kabaliści jedynie wytłomaczyć są w stanie.

Na tę odpowiedź młody chłopak smutnie opuścił głowę na piersi, ale po chwili milczenia myśli jego pewnie na inny przedmiot się zwróciły, bo znowu się odezwał:

— A więc opowiadanie o królu Dawidzie, jak grą swoją Saula uspokoił, i wzmianka w psalmach o muzycznych jego instrumentach jest także tylko allegorją?

Ryżobrody żyd z zadziwieniem słuchał tych słów Dawida i zamiast odpowiedzi mruczał tylko pod nosem:

— Oszalał! zupełnie już oszalał! — Młody chłopak jednak, nietylko że nie dosłyszał tych upokarzających słów, ale zapomniał nawet o obecności ryżobrodego i znowu pogrążył się w myślach, aż nagle, jakby niewidzialną pchnięty sprężyną, zerwał się z siedzenia i wyszedł na ulicę, zostawując osłupiałego za sobą żyda, który nie był nikim innym, jak owym prawowiernym reb Chaimem, co to oddawna już śledził wszystkie postępki i mowy biednego Dawida.

IV.

Objawienie.

Wązka i brudna uliczka, na której znajdował się Bethhamidrasz, w tej chwili pełna była ruchu. Mieszkańcy, trudniący się po większej części obnoszeniem towarów po domach, stręczeniem rozmaitego kupna, lub też drobnem kupiectwem,

zmęczeni całodziennym upałem, przechadzali się teraz lub odpoczywali, siedząc na grubych kłodach drzewa, dla używania wieczornego chłodu. Tłumy dzieci, dopiero co uwolnione z ciasnych chederów, bawiły się krzykliwie, bijąc się z sobą, lub tarzając w piasku. Na samym środku ulicy gromadka znaczniejszych mieszkańców, w szlafrokach, z fajkami w ręku, rozprawiała głośno o interessach, a nieco dalej od nich, gwarliwsza jeszcze gruppa kobiet opowiadała, krzyczała, lub spierała się z sobą.

Zatopiony w sobie Dawid nie uważał na to wszystko, ze spuszczoną głową i założonemi w tył rękami przeszedł na około znajomych, nie widząc, jak za jego zbliżeniem się wszyscy ucichli, pokazując go sobie na wzajem. Wzrok jego ku wewnętrznemu obrócony światu, obojętnym był na to, co go otaczało, i tak w głębokiej zadumie ciągle szedł dalej i dalej.

Już zmrok ustępował miejsca jasnej wiosennej nocy, gdy Dawid, minąwszy dzielnicę żydowską i ludny rynek, ujrzał się w części miasta prawie mu nieznanej, gdyż rzadko kiedy syn szkolnika, nie znający polskiej mowy, odważał się zapuścić tak daleko w ulice chrześcjańskie, do których go żadna nie wiodła potrzeba.

Przed nim, z jednej strony, z pod ciemnej zieloności ogrodów, wychylały się białe jednopiętrowe domy, oblane światłem księżyca, a przywykłemu do smutnej swej izdebki Dawidowi zdawały się cudownym otoczone blaskiem. W przeciwległej zaś stronie, oko zatapiało się w nieprzejrzaną zieloną równinę, wśród której miejsca-

mi tylko błysnęły jasne smugi rzeczułki jak srebrzyste plamy na ogromnem tle nocnego krajobrazu. Uderzony niezwykłym dlań widokiem, Dawid usiadł na murawie tuż przed otwartem oknem pobliskiego domu, który ukryty w cieniu wydawał mu się najbardziej samotnym.

Był to jeden z tych pogodnych wieczorów wiosennych, pełnych światła i woni, w których niewidzialna nić łącząca nas z naturą, niby prąd magnetyczny, przenika dusze wrażliwe. Najlżejsza plamka nie marszczyła gładkiej nieba powierzchni, po której tysiące gwiazd migało jak ułudne nadzieje w sercu młodzieńczem. Wonne westchnienia roślin, poruszanych lekkim oddechem wieczoru, obejmowały zmysły Dawida. Mnóstwo nieznanych dotąd głosów odezwało się wśród uroczego milczenia nocy, jakoby drzewa, chyląc do niego zielone swe sploty, szeptały mu ciche tajemnice stworzenia, a przyroda, tuląc go do macierzyńskiego łona, ukoić chciała biedne serce, usychające nad zagadką własnego żywota.

— Pojmuję teraz — szepnął pół głosem do siebie Dawid—jak nieba głosić mogą cześć swego Stwórcy, a firmament opowiadać o Jego dziełach. O jakżeż ten Bóg jest dobrym i jak łaskawie przemawia do serca swych dzieci!

Już z godzinę może Dawid siedział pod wpływem tych słodkich i poważnych zarazem myśli, gdy nagle z otwartego okna, pod którem siedział, odezwał się dźwięk fortepianu, a za nim, piękny głos kobiecy zaśpiewał pieśń cichą i rzewną...

Nuta ta, pełna niewysłowionego żalu i tęskni-

cy, zadrżała w powietrzu jak tchnienie modlitwy unoszącej się do nieba, która długo płacząc błądzi wśród błękitnego przestworza, aż, jakby skąpana w promieniu spotykanej tam gwiazdy, rozleje się w głośny hymn radości i tryumfu.—Dawid słuchał osłupiony, ale w miarę jak słuchał, jakaś dziwna błogość wytryskała nań z tych czarownych tonów, zespalała woń tych roślin, pogodę tego nieba, srebrne światło tego księżyca z niewyraźnem pragnieniem jego młodego serca, ze złotemi snami, kołyszącemi jego wyobraźnię. A nie mogąc rozróżnić jedno od drugiego, zdawało mu się, jakoby nieba się roztwierały, a ucho jego piło nadziemskie harmonje, któremi chór Aniołów chwali Przedwiecznego. . . . .

Muzyka ustała, okno się zamknęło,—ale któż opisać zdoła nawał uczuć cisnących się teraz tłumnie do piersi naszego bohatera,—tysiące nowych myśli, kiełkujących we wzburzonym jego umyśle, podczas gdy godzina za godziną niespostrzeżenie mu upływały, a oczy jego w niemem zachwyceniu wlepione były w niebo, jakby tam gwiazdę dojrzeć chciały, która drodze jego życia przyświecić miała.

V.

Rzeczywistość.

Północ oddawna już minęła, a zimno, przenikające lekkie ubranie Dawida, powoli przywróciło go do mniej przyjemnych myśli. Trzeba było wracać do domu i wytrzymać surowe kazanie oj-

ca za dzisiejszą nocną wycieczkę. Wstał tedy i, z trudem wyprostowawszy zdrętwiałe od zimna członki, udał się na powrót do domu. Cicho i pusto teraz było w tych przedtem tak ożywionych ulicach. Zamknięte okiennice domów zdawały się myśli nawet obcej bronić przystępu do cichego gniazda, gdzie mieszkańcy o całodziennych zapominali trudach. Jedno tylko okienko mieszkania Dawida pozbawione było tej osłony, a nie byłoż to, jakby symbolem jego duszy, która jedna tylko wśród otaczających ją istot wyjrzeć usiłowała poza ciasny obręb codziennego życia i jego potrzeb? Szczęście to jednak, iż stary szkolnik w ubóstwie swojem nie obawiał się złodziei, bo czekając na syna i drzwi zostawił niezamkniętemi. Dawid mógł więc, nie budząc ojca, udać się na ubogie swe posłanie, gdzie wkrótce zasnął twardym snem młodości. Ledwie kilka spał godzin, gdy obudziło go mocne szarpnięcie za rękę i, przetarłszy nawpół sklejone jeszcze powieki, ujrzał przed sobą rozgniewaną postać ojca.

Śpisz teraz niecnoto! A gdzieżeś wczoraj był, podczas gdy wszyscy uczciwi ludzie spokojnie spali? Mów zaraz, albo cię na śmierć zabiję!

Dawid, w połowie jeszcze senny, na widok jednak niezwykłego wyrazu groźby na twarzy ojca, odzyskał całą przytomność umysłu i przemówił błagalnym głosem:

— Przebacz mi ojcze kochany! czuję, żem cię obraził, ale zaklinam ci się na Boga, który

nas widzi, żem nic złego nie zrobił tej nocy, choć późno do domu wróciłem.

— Powiedz, gdzieś był niegodziwcze! krzyknął Benjamin, wyciągając go za rękę z posłania.

— Zabłądziłem tylko do ulic chrześcjańskich, a usłyszawszy w jednym domu piękną bardzo muzykę, usiadłem dla przysłuchiwania się jej, a potem sam nie wiem, jak mi czas zeszedł na myśleniu.

— A więc już po chrześcjańskich wałęsasz się ulicach! Ty, syn szkolnika! którybyś nigdy opuścić nie powinien ławki Bethhamidrasz! Na, masz tobie muzykę! — i tęgi policzek spadł na twarz młodego chłopca.

— Już teraz nie może nawet być nowy o związku ze Szmulówną, — mówił dalej Benjamin. — Ale kto wie, co źli ludzie powiedzą rabinowi, w jakim ty po nocy chodziłeś celu, a ja dzięki tobie jeszcze i ten nędzny kawałek chleba utracę, który mam z łaski gminy. Ale nie! nie ścierpię, aby postępowanie takiego jak ty szaleńca hańbą okryło siwe moje włosy. Wstań natychmiast i chodź ze mną do Synagogi! Ani na krok cię nie odstąpię, a zobaczymy, czy mi się nie uda wypędzić ducha złego, który cię opętał.

Chcąc nie chcąc, musiał więc ubierać się Dawid i, umywszy sobie potrzykroć ręce, zmówiwszy przepisaną krótką modlitwę, z zapłakanemi oczami i chwiejącemi się jeszcze kroki, poszedł za ojcem, który, zastukawszy do drzwi sąsiednich domów i Synagogi, wziął się do uporządkowania tej ostatniej. Niebawem synagoga napełniła się pobożnymi i zaczęło się poranne na-

bożeństwo. Jeszcze Benjamin niezupełnie dokończył modlitwy, gdy do miejsca, gdzie stał z Dawidem, przystąpił znany nam już Jankiel szadchen i zdaleka jeszcze wykrzyknął, wskazując na nich:

— Stracone moje pięćdziesiąt złotych! stracone niepowrotnie!

— Jakie pięćdziesiąt złotych! zapytał Dawid.

— Oho kochanku! ty mi się tu wtrącaj, bo u ciebie w głowie na prawdę brak piątej klepki— Reb Benjaminie! — mówił, obracając się do starego szkolnika — w życiu mojem tego nie zapomnę, jak mi ten wasz synalek gotowe już prawie pieniądze wyjął z kieszeni! Od roku już bywam u Szmula, mówię z nim o waszym Dawidzie, układam wszystko, przyrzekają mi pięćdziesiąt złotych za moją fatygę, słowem rzecz ukończona. A tu, nie wiedzieć zkąd, chłopcu w głowie się przewraca i po wszystkiem! Możebym jeszcze namówił Szmula, bo wiecie przecież, że ja nie lada jaki. Jak zacznę perswadować, to górę z górą zbliżyć potrafię. Ale wczoraj całe miasto widziało, jak wasz Dawid w nocy sam jeden chodził aż tam het za rynkiem, a potem wyście wszystkich o niego wypytywali, szukając go do północy. Piękna mi rekomendacja dla kawalera, nieprawdaż? Widzicie, jak tam wszyscy stoją i rozmawiają, to o wczorajszej waszego synka wyprawie. Wszystko teraz przepadło!

Miał słuszność Jankiel, że wszystko przepadło.

Przystąpmy tylko do wskazanej przez niego

gruppy, a przekonamy się o tem. Tu w tej chwili najgłośniej pererował sam Szmul, otoczony gromadką ciekawych.

— Oj ten Jankiel! ten Jankiel! żeby z piekła nie wylazł! Dobrej mnie chciał biedy narobić! Wiecie przecież, że mam córkę na wydaniu, a że dzięki Bogu grosz się dla niej zebrał, szukałem więc zięcia uczonego i pobożnego, któryby po stu dwudziestu latach życia naszego był moim *kadyszem* (odmawiającym modlitwę za duszę zmarłego). Wiedząc o tem, ten oszust Jankiel naraił mi Dawida, a ja już gotów byłem zaręczyć go z moją córką, gdyby nie poczciwi ludzie, którzy mnie jeszcze w sam czas ostrzegli. Niech im to Pan Bóg wynagrodzi. Już nawet perły i kolczyki kupiłem dla córki, a dla narzeczonego srebrną tabakierkę, słowem, wszystko już było przygotowane. Wielkie dla mnie szczęście, że się to teraz wykryło!

— Naprawdę, że wielkie szczęście! podchwycił stojący obok piegowaty jakiś żydek z długiemi aż do pasa pejsami. Sam słyszałem w Bethhamidrasz, że wyrośnie to kiedyś na apikojresa (heretyka).

— Macie za co Bogu podziękować,—odezwał się drugi żyd, którego chuda i wysoka postać we dwoje zgarbiona i oczy ciągle do góry wznoszone, świadczyć miały o wielkiej pobożności.— Mnie sam Reb Chaim wczoraj mówił, gdyśmy widzieli Dawida wychodzącego z Bethhamidrasz, że ten bezbożny utrzymywał, jakoby w świętei pieśni Szyr Haszyrym opisane były jakieś miłostki chłopca z dziewczyną.

Na te słowa, oburzenie całej gruppy doszło do najwyższego stopnia i wysoki pobożniś splunął przed siebie z pogardą. Benjamin, choć nie dosłyszał tych mów Szmula i jego popleczników, zdawał się jednak domyślać ich treści, bo, pociągnąwszy za sobą syna, szybko minął miejsce, gdzie oni się znajdowali.

W domu starzec znękany tylu wzruszeniami gorzko zapłakał i wykrzyknął z rozpaczą:

— Jednym moim majątkiem było nasze dobre imię, a teraz i ono stracone na zawsze!

Dawid nieśmiało przybliżył się do ojca i, obejmując jego kolana, rzekł z głębokiem wzruszeniem:

— Ojcze! przysięgam ci, że od tej chwili nie dam żadnego powodu do skargi na mnie, choćby mi serce pękać miało w tych ciasnych murach. Ale nie gniewaj się tak na mnie i nie płacz, bo te łzy duszę mi rozdzierają!

Starzec, spojrzawszy w piękną twarz syna, wyczytał na niej szczere postanowienie poprawy, i spokojniejszy nieco wyjął z szafki swe śniadanie, składające się z suchego chleba i wódki, i podzielił się niem ze swoim chłopcem.

VI.

Elul.

Od tego dnia stary Benjamin nie odstępował już syna, który ciągle siedzieć musiał nad nauką Talmudu. Dawid nie sprzeciwiał się rozkazom ojca, czując się zobowiązanym do wyna-

grodzenia mu dotychczasowych zmartwień. A przytem, od owego pamiętnego wieczora, niezwykła pogoda zapanowała w jego umyśle. Znikło to burzliwe parcie na zewnątrz, które go niepokoiło, a mgliste wyobrażenia, snujące się dotąd w jego głowie, powoli wyraźniejszych nabierały kształtów. Już nie błąkał się po ulicach; nie wypytywał nikogo o świat nieznany; nie szukał w biblji obrazu nowego życia; bo ono w sercu jego najcudowniejszemi rozkwitało barwami. Wiedział już, czego szukał i przyszłość, choć w niewyraźnych dopiero zarysach, ukazała mu się jasną i promieniejącą. Kiedy i jak ją zdobędzie? Nie pytał się o to! Nie znając świata, nie znał też przeszkód, tamujących bieg żywej myśli i zmuszających ją do długich i nużących zboczeń, zanim widnem stanie się ciałem.

Z początku wszyscy tę nagłą poprawę Dawida przyjęli z niedowierzaniem, przypisując ją chęci złowienia jeszcze posagu panny Szmulówney. Ale gdy Surusia, mimo płaczu i serdecznego żalu za piękną twarzyczką piętnastoletniego Dawida (gdyż oprócz twarzyczki nic więcej nie znała), poszła za wysokiego pobożnisia, któregośmy poznali w Bethhamidrasz, a niezrażony tem Dawid ciągle jeszcze siedział nad nauką i pilnował czasu Minchy i Maarew, to nakoniec sam reb Chaim oświadczył, iż zły duch z niego ustąpił. A przychylne to zdanie, poparte przez męża Surusi, który już nie obawiał się w nim rywala, ogólnie przyjętem zostało ku wielkiej radości starego Benjamina.

Tak upływały naszemu bohaterowi, jedno-

stajnie na oko, dnie i miesiące, choć każde z nich nowe coraz ziarnko dorzucało do zbioru uczuć jego i myśli. Przeszła wiosna, przeszło i lato, już minął miesiąc Ab, z nim smutna rocznica zburzenia świątyni Jerozolimskiej (Tiszebeaw), a po dniach tęsknego żalu za minioną przeszłością, nastał Elul, ten czas skruchy i pokuty. Teraz codzień w Synagodze brzmiał uroczysty głos *szafaru*, przypominający grzesznikom, że dzień Sądu Bożego (Jom Hadin) nie daleki, a skruszone serca w pokutnych psalmach wylewały żale swoje za przekroczenia przeciw przepisom religijnym. Nawet na dziecinnych twarzach najmłodszych uczni Bethhamirasz niezwykła osiadła powaga. Nie bawili się już z sobą, nie popychali się, wychodząc. Wiedzieli bowiem od ojców i nauczycieli, iż w dzień sądu Pan Bóg całoroczne czyny człowieka skrupulatnie rozważa i podług nich, na rok przyszły, życie lub śmierć przeznacza.

Teraz więc każdy z nich obawiał się, aby uśmiechem lub swywolą nie dopełnić miary grzechów i nie być za to na śmierć przedwczesną skazanym.

Dawid zastanawiał się teraz poraz pierwszy nad posępnem wyobrażeniem Boga mściciela (El kano wenokem), karzącego najlżejsze choćby i mimowolne przestąpienie zakonu, zabraniającego używać życia i nakazującego stłumić w sobie zarody nawet uczuć radosnych, aby rozrastając nie stały się grzechem. I z boleścią zapytał sam siebie, dla czego bracia jego zapoznawali Ojca Wszechmiłości i bogatych darów, których im udzielił w naturze, utrzymując, że z niechęcią wi-

dzi szczęście swych dzieci i surowej tylko po nich wymaga bojaźni.

Dawid nie wiedział jeszcze, że cierpienia i prześladowania wieków zgniotły w jego narodzie ten delikatny kwiat miłości. Gdyż, nie doznawając tego uczucia ze strony wyższych, przyzwyczaili się jedynie pokornem uleganiem i schylaniem głowy przebłagać panów swoich, dla uniknięcia grożących im burz; i dla tego w ciemnocie umysłowej—będącej skutkiem tych gorzkich życia kolei, powoli stracili wyobrażenie światłego Boga miłości, który ich ukochał, a w miejsce jego widzieli tylko surowego sędzię na obraz i podobieństwo nieubłaganych sędziów swych ziemskich.

VII.

Osierocenie.

W ostatnim tygodniu miesiąca Elul Benjamin codzień wstawał o czwartej godzinie dla pukania do drzwi mieszkańców i zwoływania ich na pokutne nabożeństwo (selichoth). W przeddzień święta noworocznego (Roszhaszana) szkolnik wstał jeszcze wcześniej jak zazwyczaj. Na dworze deszcz lał strumieniami, wiatr jesienny dął z gwałtownością, rozwiewając podartą kapotę Benjamina i siwe jego włosy, z których futrzana czapka zleciała. Ulice pozbawione bruku były jednem głębokiem błotem, w którem nogi jego płytkim obute trzewikiem, za każdym krokiem, po kostki zagrzęzały. Dawid, dążący za nim, ledwie wśród grubej ciemności dojrzeć mógł

schyloną postać ojca, a gdy go nareszcie we drzwiach synagogi doścignął, gdy ojciec drżącą ręką zapalił światło, Dawid przeląkł się trupiej bladości na jego twarzy i obłąkanego spojrzenia, którem wodził na około.

— Cóż wam się stało ojcze?

— Nic mi się nie stało. Zimno mi tylko, ale niech no Chazen (Kantor) zacznie Selichoth, a zobaczysz, jak to stare moje kości rozgrzeje.

Dawid, niezadowolony tą odpowiedzią, z niespokojnością patrzał na ojca, który drżącym krokiem chodził, krzątając się i zapalając świeczki.

Zaledwie zaczęły się selichoth, gdy rumieniec wrócił na zmarszczone lice staruszka, ale po przeczytaniu pierwszych kartek nagle z zamkniętemi oczami upadł na ławkę zemdlony. Dawid, który dotąd nie spuścił go z oka, jeszcze go pochwycić zdołał w swe objęcia i głośnym krzykiem zaczął wołać o ratunek.

W jednej chwili otoczono Benjamina, który leżał jak bez duszy, i przeniesiono go do przedsionka synagogi. Jedni pobiegli, by zapukać do pobliskiego szynku po spirytus, drudzy tymczasem oblewali chorego zimną wodą, tarli mu twarz i członki, by go do życia przywołać. Szczęściem żydowski felczer znajdował się także w Synagodze i ten wziął się niebawem do puszczenia krwi zemdlonemu starcowi.

Benjamin po tej operacji otworzył wprawdzie oczy, ale głowa jego paliła, zęby szczękały jeden o drugi i felczer oświadczył, że okazują się symptomata długiej i niebezpiecznej choroby. Przeniesiono więc chorego do ubogiej jego izdeb-

ki, a Dawid z załamanemi rękami szedł obok urządzonych na prędce noszy.

Szpitala żydowskiego nie było, a więc chorego zostawić musiano w domu, ale litościwi mieszkańcy przysłali zaraz najętego stróża, który zwykle doglądał chorych, i felczer się został, choć za swoje usługi żadnej spodziewać się nie mógł zapłaty.

W przeciągu kilku godzin gorączka wzmagała się w sposób zatrważający, i na usilne prośby Dawida felczer wyszedł, by sprowadzić doktora. Za pół godziny przyszedł wysoki jegomość w okularach, — który ledwie, schyliwszy się, pomieścić się mógł w nizkich drzwiach izdebki — przybliżył się do chorego, pomacał puls i, wysłuchawszy sprawozdanie felczera, wydarł z pugilaresu swego kartkę papieru i ołówkiem, który miał przy sobie, nakreślił receptę.

Dawid, który dotąd oddech zatrzymał, by słowa nie stracić z relacji felczera, teraz przybliżył się do doktora i rzekł do niego ze łzami:

— Kochany Panie! ratujcie biednego ojca mego — Pan Bóg w niebie Wam to wynagrodzi.

— Toś ty synem tego staruszka? — odpowiedział doktor, wpatrując się z zajęciem w szlachetne oblicze Dawida — i nie masz już matki także? Biedny chłopiec!

Dawid, który z tej odpowiedzi poznał całe niebezpieczeństwo ojca, jeszcze bardziej się rozpłakał, a doktor, wziąwszy go za rękę, mówił:

— Uspokój się chłopcze! Pan Bóg pewnie wysłucha gorących modłów niewinności, a co do mnie, wszystko zrobię, co będzie w mojej możno-

ści. Za parę godzin znowu tu wstąpię, aby skutek lekarstwa zobaczyć.

W istocie doktor za kilka godzin przyszedł po raz drugi, ale znać, że stan chorego się nie polepszył, bo doktor, potrząsnąwszy głową, zakazał tylko wszelkiego łoskotu i nareszcie spytał się Dawida, czy ma jaki fundusz na ratunek ojca.

Dawid odpowiedział przecząco, a doktor odchodząc wsunął mu do ręki trzyrublowy papierek.

Nazajutrz było święto noworoczne; wszyscy więc opuścili chorego, udając się do synagogi. Jeden tylko Dawid odstąpić nie chciał łoża boleści i z głębi serca rzewne do nieba zasyłał modlitwy za zdrowie ukochanego ojca. Ale później i doktor, modlący się dziś także w głównej synagodze, w przerwach długiego nabożeństwa, kilka razy do nich zaglądał, choć coraz smutniej potrząsał głową, coraz litośniej poglądał na chorego tak, jak na wycieńczonego płaczem i bezsennością młodego chłopca.

W śmiertelnej niespokojności przeszły dla Dawida święta i ośm dni pokutnych, a w wigilją sądnego dnia (Jom kipur) stróż doglądający chorego wyszedł na chwilę i wkrótce potem powrócił z kilkoma mężczyznami, którzy zasiedli naokoło łoża i zaczęli recytować psalmy.

Dawid, który dotąd osłupiałem już okiem patrzał na wszystko, co się koło niego działo, na widok jednak nowych przybyszów zerwał się z płaczem i podskoczył do łóżka. Ale jeden z otaczających je łagodnie go odsunął, mówiąc:

Cicho chłopcze! czy nie widzisz, że Pan Bóg już do siebie powołał pobożnego ojca twego!

Na te słowa Dawid krzyknął z rozpaczą i upadł na ziemię pod ciężarem gniotącej go boleści.

VIII.

Reb Szymon.

Po śmierci szkolnika, Dawid siedział sam jeden w swem mieszkaniu. Dziwili się ludzie, że młody chłopak nie obawiał się samotności w domu śmierci i nie zrozumieli tej potrzeby, zostania sam na sam z pamiątkami minionej na zawsze przeszłości. Sąsiedzi tylko czasem do niego zaglądali, przynosząc mu chleba, a czasem i łyżkę ciepłej strawy, póki ciężka tygodniowa trwała żałoba; on zaś, co rano i wieczór na nabożeństwie 10-iu (minien) u niego odbywającem się, odmawiał modlitwę za duszę zmarłego (kadysz).

W pierwszym dniu po ukończeniu szywe (siedm dni żałobnych), do siedzącego w smutnych myślach Dawida przyszedł z rana kantor miejscowy, a siadając obok niego na ławie, rzekł:

— Cóż teraz z sobą poczniesz, Dawidzie?

— Sam jeszcze nie wiem, odpowiedział zapytany.

— Czy wiesz, że jutro nowy szkolnik zająć ma tę izdebkę? Trzebaby, abyś sobie inne obmyślał schronienie.

— A cóż sobie obmyślę? Wszak już nikogo nie mam na tym świecie!

Nie rozpaczaj Dawidzie! Ja teraz pójdę do wszystkich moich znajomych i wypytam się, mo-

że wiedzą o jakiem stosownem dla ciebie miejscu — a tymczasem mógłbyś być u mnie.

Gdy odszedł kantor, Dawid obejrzał się z żalem po kątach ulubionej swej izdebki. Tak często życzył sobie opuścić te ściany zakopcone, a przecież dzisiaj serce jego ścisnęło się boleśnie na myśl zostawienia komu innemu tego miejsca, gdzie choć w ubóstwie tyle jednak chwil szczęścia przeżył, tyle pięknych przemarzył godzin! A w cóż się obróciły te sny zwodnicze, które niedawno jeszcze przyszłość w tak tęczowe stroiły mu barwy? Otoż, stał sam i opuszczony w świecie, straciwszy jedyne serce, które go kochało, jedynego opiekuna niedoświadczonej swej młodości.

Z ulicy dochodził go gwar różnorodnych wesołych głosów, a z pobliskiej szynkowni dysharmonijne tony katarynki, krzyki pijanych i tupot wesołych tancerzy, gdyż dziś był dzień jarmarczny. W życiu wszystkich ludzi nic się więc nie odmieniło, choć jeden człowiek z pomiędzy nich ubył, jedno tchnienie skrzepło, a za niem druga dusza w tęsknym płakała smutku!

Dawid, myśląc o tych ludziach zajętych i wesołych, uczuł się jeszcze samotniejszym i jakby kroplą zgubioną w niezmierzonym świata oceanie.

Powracający do niego w godzinę potem kantor przerwał te dumania, mówiąc z radością:

— Jesteś naprawdę szczęśliwym, Dawidzie! Dowiedziałem się, iż Reb Szymon Melamed potrzebuje bakałarza do swego chederu. W tej chwili byłem u niego, a on zgadza się, aby cię od

dnia dzisiejszego przyjąć do siebie na stół i pomieszkanie. Chodź ze mną, to ja cię tam zaprowadzę.

Dawidowi nie bardzo się podobał zawód bakałarza, ale nie mając na teraz żadnego sposobu do życia, mógłże przebierać? Udał się więc z kantorem do przyszłego swego zwierzchnika.

Zastali go siedzącego przy stole, przed którym w tej chwili nad otwartą książką stał na niskim pieńku chłopczyna, mogący mieć najwięcej lat trzy, gdyż mimo podwyższenia ledwo do stołu dostawał. W ciemnej i brudnej izbie kręciło się lub siedziało na ziemi, ze trzydzieści dzieci, tak chłopców jak i dziewcząt, które przytłumionym z sobą rozmawiały głosem. A gdy któremu z nich wyrwało się słowo głośniejsze, to od stołu zaraz rozległo się groźne „Sza!“, na które dzieci bojaźliwie przytulały się jedno do drugiego. W drugim końcu izby siedziała, w zatłuszczonym cycowym szlafroku, kobieta około lat pięćdziesięciu, której jedyne oko zwrócone było z uwagą na wszystkie ruchy dzieci i często złowrogo spoczywało na wiszących obok niej na ścianie skórzanych rzemykach.

Kantor, przystąpiwszy do reb Szymona, rzekł:

— Przyprowadziłem wam tego chłopca, któregoście przyjąć chcieli.

Reb Szymon zamiast odpowiedzi zawołał tylko na żonę:

— Chodź no Gitlo! Oto jest nowy bakałarz.

Gitla przybliżyła się i odrazu błyszczącem okiem swojem od stóp od głowy zmierzyła Dawida, poczem odezwała się do niego z przymileniem:

— Będzie ci u nas jak w domu, ale trzeba być posłusznym, chodzić za wszystkiem co potrzeba, nie bawiąc się długo, a przytem bić dzieci kiedy każę.

— A cóż on u was dostanie? spytał się kantor.

— Cóż ma dostać? Niedosyć, że mu zaraz z początku damy utrzymania i nauczymy bakałarstwa.

— Ale skąd sobie co sprawi?

— Wszak pierwszego każdego miesiąca dostanie od rodziców po trzy i po sześć groszy, niech sobie z tego nazbiera.

Kantor przystał w imieniu Dawida na tę ugodę i wkrótce pożegnał nowego bakałarza, zostawiając go pod opieką reb Szymona i jego żony.

Gitla zaraz kazała mu się wziąść do nauki i posadziła go na miejsce męża, który się na bok odsunął.

Dawid onieśmielony surowym wzrokiem Melamedowej, po cichu rzekł do dziecka:

— Mówże Alef.

— Ej nie tak to uczą. Głośno! Pokaż-no mu ty Szymonie, jak się do tego brać trzeba.

Szymon, posłuszny rozkazom żony, pokazał Dawidowi, jak się u niego odbywały lekcje czytania, a w końcu, pewnie także dla nauki nowicjusza, rozciągnął krzyczącego malca na stołku i wyliczył mu tęgą piątkę, przyniesionemi przez Gitlę rzemykami.

Gdy nastał czas obiadu, Szymon i jego żona zasiedli na około potężnej misy z kluskami, Da-

widowi zaś podawano tylko kawał chleba, przyrzekając, iż go poślą do rodziców po obiad dla dzieci, a z każdej przyniesionej porcji będzie sobie mógł wziąść co mu się spodoba, bo dzieciom pod najsurowszą karą nie wolno się o to w domu poskarżyć.

Na drugi dzień, reb Szymon zajął się już zwykłą swoją robotą, to jest tarciem tabaki, a na miejscu swojem zostawił Dawida pod dozorem — ma się rozumieć—szanownej swej połowicy.

Ale ta robota szła ciężko. Dawid ku wielkiemu niezadowoleniu Gitli nie mógł się w wykładzie zdobyć na głos dość donośny i surowy, jakiego po nim wymagała.

A gdy jeszcze przyszło do wykonania, na osobie czteroletniej dziewczynki, zapadłego przez panią Gitlę wyroku, to Dawidowi zrobiło się gorąco. Spojrzawszy w piękne niebieskie oczy delinkwentki, podniesione do niego ze łzami, przypomniał sobie oczy zmarłej swej matki i żadną miarą nie chciał uderzyć płaczącej dzieciny, mówiąc:

— Daj jej pani pokój, to takie małe i delikatne.

— A ty ślamazarniku jakiś! durniu! darmozjadzie! — krzyknęła z gniewem Melamedowa — zgodziłeś się na bakałarza i ani wiesz, jak się do tego wziąść i jeszcze mi będziesz rady dawał! Bić nie chcesz i myślisz, że cię tu darmo trzymać będziemy! Precz mi ztąd! — i pokropiwszy przestraszonego trzymaną w ręku dyscypliną, mocnem szturchnięciem za drzwi go wypchnęła.

IX.

Przyjaciel w potrzebie.

Znalazłszy się tak niespodzianie na ulicy, Dawid nie wiedział co z sobą zrobić.

Ze wszystkich znajomych, jeden tylko kantor większe okazał mu współczucie, a ten pewnie mu wyrzuci, dla czego nie potrafił się utrzymać na posadzie bakałarza, i kto wie, czy jeszcze coś dla niego zrobić zechce.

Błądząc tak bez myśli i celu po mieście, uczuł nagle czyjąś rękę na swem ramieniu i obróciwszy się, ujrzał przed sobą wysoką postać doktora.

— Cóż tu porabiasz chłopcze i gdzie jesteś od śmierci ojca?

— Nie mam niestety żadnego na teraz przytułku, bo mi naszą izdebkę pewnie już zabrali dla nowego szkolnika.

— A do czego miałbyś ochotę?

— Do wszelkiej pracy, choćby i najcięższej, ale bakałarzem być nie mogę.

— A z jakiego powodu?

— Nie gniewaj się panie, to nie przez lenistwo, ale czuję, że umarłbym w dusznym chederze.

— Przecież dotąd zawsze siedziałeś w Bethhamidrasz, gdzie powietrze zdaje się wcale nie jest lepszem?

— Ale byłem swobodnym, wolno mi było uczyć się lub myśleć i to było moją pociechą, a przytem nie kazali mi tam bić nikogo.

— Jakto, czyś już sprobował?

Dawid opowiedział doktorowi dzisiejsze postępowanie z nim Melamedowej, a ten, wziąwszy go za rękę, rzekł:

— Chodź ze mną chłopcze! ty godnym jesteś lepszego losu i ja spodziewam się, że ci u mnie lepiej będzie jak u tej Megery.

Dawid, nie wiedząc dokąd idą, z ufnością jednak postępował za jedynym człowiekiem, który zdawał się zajmować jego losem. Jakżeż się jednak zdziwił, widząc, że doktor minąwszy rynek wstąpił do ulicy, na której wtenczas nocną usłyszał muzykę. Poznał te same niskie domy, choć ogrody na około nich pożółkły, a teraz blade jesienne oświecało je słońce, a gdy stanęli przed jednym z nich, Dawidowi zdawało się, iż to ten sam, pod którego oknami siedział i który na zawsze wyrył się w jego pamięci. Tak jednak był zmięszanym, iż nie mógł sobie dokładnie zdać z tego sprawy.

— Wejdźże, czego się ociągasz? — zapytał dobrotliwie jego przewodnik, otwierając drzwi.

Dawidowi dziwnem się wydawało, aby on, z zabłoconemi trzewikami, wejść miał do tego pięknego oszklonego korytarzyka, w którym podłoga jaśniała niewidzianą dotąd białością i któremu rozstawione na około kwiaty w doniczkach, w jego oczach szczególnej nadawały wartości. Doktor, widząc jego wahanie, wziął go za rękę i, pokazawszy mu u drzwi słomkę do obcierania trzewików, zaprowadził go ze sobą do pokoju.

Tu wyszły na ich spotkanie: młoda jeszcze kobieta w ubiorze, różniącym się wiele od znane-

go Dawidowi stroju niewiast i dwie małe dziewczynki. Kobieta rzuciła się w objęcia doktora, a on, pocałowawszy ją w czoło, wskazał na stojącego za sobą Dawida.

— Oto jest Helenko—rzekł po polsku—ten chłopak, o którym ci niedawno mówiłem, został się teraz biedny podwójnym sierotą. Spotkałem go przypadkiem na ulicy, ale teraz trzeba już koniecznie pomyśleć o jego losie. A to kochanku jest moja żona—dodał po żydowsku, obracając się do chłopca—która cię już trochę z mojego opowiadania zna.

Młoda kobieta ze współczuciem spojrzała na naszego bohatera, któremu rumieniec wystąpił na wychudłe policzki i łagodnym rzekła głosem:

— Chodź co zjeść, bo już nakryto, a po obiedzie rozmówimy się i zobaczysz, że prędko znajomość zabierzemy.

Dawid jakby we śnie przeszedł za doktorostwem kilka jeszcze pokoi i zatrzymał się w jednym, gdzie na środku stał stół nakryty białą serwetą. Na stole zaś stało i leżało dużo rzeczy, których użytek nie mógł odrazu zrozumieć.

Doktor nalegał, aby koniecznie coś zjadł, ale Dawid, śmiejąc ledwie skosztować podawane mu potrawy, za każdem przemówionem do niego słowem, coraz żywszym tylko zapłonął rumieńcem.

Po obiedzie doktor pocichu zaczął rozmawiać z żoną, poczem odezwał się do Dawida.

— Słuchaj chłopcze! mógłbyś ty się od tej chwili pozostać u mnie? Może masz jakich krewnych, których się poradzić musisz?

— Nie mam nikogo, a jeśliby mnie pan doktor

chciał przyjąć do usług, przez całe życie byłbym mu za to wdzięcznym. Ale nie! to niepodobna! bo nacóżbym ja się tu mógł przydać—mówił Dawid, spuszczając głowę.

O to się nie troszcz! Już to mojem będzie zadaniem, aby cię na użytecznego wykierować człowieka, podobno sławnym jesteś Talmudystą jak szłyszałem, ale umiesz-że pisać po hebrejsku także?

— Umiem.

— Masz papier i pióro i napisz mi cóżkolwiek.

Dawid napisał kilka słów pięknym hebrajskim charakterem.

— Dobrze! łatwo ci więc będzie nauczyć się i polskiego pisma.

Na tem skończyła się rozmowa i od tej chwili ex-bakałarz przyjętym został do domu doktora.

X.

Doktor.

Pan doktor Józef Heller był jednym z tych często jeszcze u nas napotykanych ludzi, którzy w młodości swojej, siłą woli i bogactwem wrodzonych zdolności, przełamać zdołali zapory, jakie im przesądy ojców, brak sposobności, a później uprzedzenie współuczących się, na drodze nauki stawiały. Jednym z tej licznej u nas falangi wojowników ducha, stawających do głuchej walki światła z ciemnością! walki ciężkiej a często i niebezpiecznej.

Heller z tej walki niejedną serdeczną uniósł ranę, wyrzekł się go ojciec, wyrzekli krewni i przyjaciele, ale wyszedł z niej zwycięzcą. Zdobył sobie stanowisko, na którem siły swoje zużytkować mógł na korzyść swych bliźnich bez różnicy wyznania, a wznoszące się niejako z obu stron nad poziomem religijnych przesądów.

Mógł teraz przykładem swego życia natchnąć współobywateli chrześcjan poszanowaniem dla wzgardzonych swych braci, a w oczach tych ostatnich podnieść i uzacnić naukę.

Tak pojmując posłannictwo swoje po ukończeniu nauk, opuścił Wilno i udał się do rodzinnego miasta S..... Tu żydowscy mieszkańcy z początku nie wiele mu zaufali, nie rozumiejąc, zkąd znajomy im tak dobrze Józef mógł się nauczyć sztuki lekarskiej i lepiej leczyć febry od samego słynnego w okolicy Reby i nieraz dawny jego nauczyciel, patrząc na krótki surdut i kapelusz doktora, mawiał do niego z westchnieniem:

— Któżby się tego spodziewał? taka tęga głowa i taki serdeczny chłopak, żeby to wyszło na coś podobnego.

— A na cóżbym mógł wyjść podług zdania waszego?—zapytał się go raz Heller z uśmiechem.

— Mógłbyś być tutejszym Rosz beth-din (starszym duchownym), a kto wie? podług tego, jak umiesz choroby leczyć, to możebyś był i Baalszem.

— Ależ jam się w szkołach dopiero tego nauczył?

— Wszystko to, co cię Goimi (innowiercy) nauczyli, nasza święta Tora sto razy lepiejby cię nauczyć mogła—odpowiedział na to stanowczo Rabi.

Wkrótce atoli nowy doktor metodą leczenia, a więcej może jeszcze ludzkiem postępowaniem i rozumem zasłużył na szacunek mieszkańców chrześcjańskich i całej okolicy. A żydzi, widząc, że codzień przededrzwiami jego domu czterokonne czekały powozy, że panowie w szlifach i obywatele wiejscy, którym oni się aż do ziemi kłaniali, prowadzili się z doktorem pod ręką, dopiero zaczynali wierzyć w skuteczność jego lekarstw.

Młody Heller mimo ogromnej praktyki o każdej godzinie nocy i podczas najgorszej niepogody spieszył na ratunek ostatniego biedaka, czy to chrześcjanina, czy żyda, a gdzie tego potrzeba było, nieraz rubla i więcej wsunął pod poduszkę chorego. Niejeden ubogi chłopak w chederze marzył o zostaniu kiedyś doktorem, aby takim jak Heller jeździć koczykiem. Bo nieraz doktor, spotykając na ulicy biedne opuszczone chłopię żydowskie, brał je do siebie, oddawał do rzemieślników, a czasami i do szkół posyłał, nie zważając na krzyki gminy. Podniósłszy się własną pracą, doktor nie przestawał patrzeć na dół z myślą podźwignięcia braci żydowskich, do których zawsze jeszcze sercem należał, pomnąc na to, iż podwójnie byli biednymi,—biednymi z braku dostatków i wygód życia, ale biedniejszymi jeszcze z braku znajomości dobrodziejstwa pracy, która uszczęśliwia człowieka, i obszernego widno-

kręgu wiedzy ludzkiej, która go podnosi. Nie znał też religijnego indiferentyzmu, jak nie znał socjalnego, bo nauka wzbogaciwszy jego umysł nie wysuszyła jednak serca.

W trzydziestym roku życia Heller ożenił się z młodą i utalentowaną dziewczyną, którą, bawiąc czas jakiś w Warszawie, poznał i ukochał, a znalazł w niej nietylko miłą towarzyszkę życia, ale i towarzyszkę myśli swych i czynów, które odbite w tem wdzięcznem zwierciedle pokrewnej niewieściej duszy, milszym i łagodniejszym zaświeciły blaskiem.

Doktor, za pierwszą swoją bytnością u chorego Benjamina, odrazu uderzony został szlachetną postawą Dawida i tonem wyrzeczonej do niego prośby.

Im częściej podczas choroby ojca z nim mówił, tem więcej utwierdził się w przekonaniu, iż to była jedna z tych istot wyjątkowych i jasnych, które czasami kapryśna natura rzuca wśród zmroku ubóstwa i niewiadomości. A gdy go potem zrozpaczonego spotkał na ulicy, gdy się dowiedział o przyczynie jego wygnania z chederu, postanowił opiekować się biednym sierotą i zająć się jego wychowaniem.

XI.

Odkrycie.

Młody chłopak, ujrzawszy się w tych pięknych z wytworną czystością utrzymywanych po-

kojach i wśród nowego dlań świata, z początku był jak odurzonym.

Przypominał sobie zdania, krążące w mieście o irreligijnem życiu doktora, i dusza jego walczyła z okropną obawą wiecznego zatracenia. Ale wkrótce czysty umysł Dawida nie mógł nie zrozumieć wzniosłej myśli kierującej wszystkiemi postępkami jego dobroczyńców, a to życie czynu i pracy dla dobra ludzkości, rozwijające się codzień przed jego oczami, to obejście się z nim łaskawe i pełne zarazem godności, nakoniec niby rodzinnem owionęło go powietrzem i przywróciło mu całą swobodę umysłu.

W kilka dni po przyjęciu Dawida do domu państwa Heller, doktorowa zaczęła mu wykładać początki czytania i pisania po polsku. Otoż teraz bohater nasz siedzi nad elementarzem i myśl, która już się wzbiła pod obłoki i dotykała najwyższych zagadek ludzkości, z trudnością zestawia zgłoski abecadła, usiłując naśladować pierwsze bełkotliwe wyrazy dzieciństwa.

Dawid do tej nowej nauki wziął się z całym zapałem swych lat piętnasu i przez czas jakiś zupełnie nawet zapomniał o muzykalnych marzeniach. Ale na drugi zaraz tydzień, siedząc wieczorem jak zwykle w bibljotece z książką w ręku, usłyszał w przyległym salonie głos doktora, rozmawiającego z żoną.

— Już dawno nie grałaś Helenko?

— Bo książki, które mi przysłali z Warszawy, bardzo mnie zajęły, a przytem mam nowego ucznia, a to rzecz nie lada dla takiego jak ja proffessora.

— Ale teraz, moje życie, prosiłbym o zagranie mi czegokolwiek. Tylem dziś znowu widział nędzy ludzkiej, iż, choć już do niej przywykłemu, smutno się jednak zrobiło na sercu.

Rozmowa ucichła, a wkrótce potem zpod palców doktorowej wyszły tony spokojne i pogodne, jak niezmącona niczem dusza dziecinna. Potem inne jakieś ale niepewne głosy do nich się wmięszały,— to pierwsze pragnienie młodocianego serca,— ciekawe ale nieokreślone. Słuchaj ! burza rośnie, potężnieje ! tony rwą się, huczą, walcząc z sobą zawzięcie ! to okropne powątpiewanie młodego umysłu.— A ten jęk ostatni, straszny, rozpaczliwy, nie jestże to upadek ducha pod brzemieniem myśli samotnych i nikim niepodzielonych ?..... Wśród posępnego milczenia, odzywa się nóta jedyna, srebrzysta i łagodna—to uroczy zwiastun przyszłości ! a z gwiazdzistej jego szaty jasność niebieska spływa na blade czoło młodzieńca, zdobiąc je aureślą nadziei !.......

Dawid już dawno opuścił z rąk książkę i stanął w otwartych drzwiach salonu, w którym przy fortepianie siedziała młoda jego pani, a gdy doktor podniósł się z kanapy, na której siedział, chcąc przybliżyć się do żony, oczy jego padły na stojącego naprzeciw niej Dawida; uderzony wyrazem jego twarzy, mimowoli się zatrzymał.

Wysmukła postać młodego chłopca, podniesiona w tej chwili pod prężeniem wewnętrznego uczucia, wydawała się wyższą jak zazwyczaj, a rysy jego, opromienione niewypowiedzianem szczęściem, dziwną jaśniały pięknością.

Doktorowa, widząc wstawającego męża, po-

wiodła za nim spojrzeniem i spotkała się z jego wzrokiem na obliczu Dawida. Dwaj ci ludzie odrazu zrozumieli, co się w młodem działo sercu, i doktor, wziąwszy chłopca za rękę, zaprowadził go za sobą na kanapę.

— Czy tak bardzo lubisz muzykę?

Dawid, pytaniem tem przywrócony do rzeczywistego życia spojrzał do koła zmięszany i chciał wstać z uszanowaniem od boku swego dobroczyńcy. Ale ten, pokazując ręką, aby się został na miejscu, powtórzył swe pytanie.

— Czy ją lubię? wszak ona to od pół roku już zajmowała wszystkie moje myśli, odrywała od nauki i odpędzała sen z moich powiek. Mógłżem się kiedy spodziewać, aby mi po raz drugi już w tak cudowny sposób się objawiła?

Teraz Dawid opowiedzieć musiał historję swego dzieciństwa, pierwszych objawów duszy wyrywającej się w świat nieznany, o wpływie Biblji i dubieńskiego kantora na jego myśli, i gdy przyszedł oo opowiadania wrażeń tej nocy majowej, kiedy po raz pierwszy w swem życiu usłyszał wychodzące z tego samego pewnie salonu, dźwięki fortepianu, w połączeniu z głosem ludzkim, doktorowej łzy stanęły w oczach a mąż jej w milczeniu ścisnął rękę głęboko wzruszonego młodzieńca.

Gdy skończył, nastała chwila milczenia. Nakoniec doktor pierwszy głos zabrał, a słowa jego wśród ogólnej ciszy brzmiały głośno i uroczyście.

— Błogosławiona niech będzie ta chwila, w którąś Ty, Heleno moja, tej duszy objawiłaś wro-

dzony jej talent. Po wszystkiem, com teraz usłyszał, już o nim nie wątpię.

W wielkim świecie, gdzie wszędzie i zawsze muzyka obija się o młode uszy, niejeden to co usłyszał wzsiąść może za myśl wylęgłą we własnym mózgu, i jak małpa naśladować ruchy gienjuszu. Ale tu jest talent wielki i samoistny, którego przeszkody zniszczyć nie zdołały! Prawda, że tu już trochę zapóźno—ale czegoż usilna praca z jego, i starania z naszej strony, dokazać nie potrafią?

— Dzięki ci, mój Józefie, za te szlachetne słowa, odrzekła na to doktorowa, całując męża. Cóżby to za roskosz dla nas była, gdyby one się ziścić mogły!

Na drugi dzień po tych wypadkach, Heller poszedł z Dawidem do znajomego mu nauczyciela muzyki, który zdziwił się niepomału, gdy doktor Heller przedstawił mu swego protegowanego, przebranego już wprawdzie w całe i czyste suknie powszechnego kroju, ale obejściem i łamaną niby to niemiecką mową zdradzającego jeszcze wychowańca Bethhamidrasz. Przez szacunek jednak dla Doktora, i przekonawszy się o słuchu muzycznym Dawida, nauczyciel przyrzekł, zacząwszy od jutra, udzielać mu u siebie lekcje fortepianu.

Codzień więc z rana młody chłopak chodził do nauczyciela muzyki i brał w domu lekcje polskiego języka. Nie można jednak było rozpoznać z początku, której z tych nauk z większym oddawał się zapałem, bo wkrótce tak w jednej jak w drugiej zadziwiające uczynił postępy.

Zbytecznem byłoby powiedzieć, iż przez tę zimę, młody uczeń dnie całe przepędzał w salonie nad fortepianem, a co noc nadedniem dopiero zasypiał, czytając łatwe książki, które mu doktorowa ze swej bibljoteki podsuwała. Kto z nas nie zna tego trawiącego pragnienia, gdy odrazu wielka i nieodgadniona, jak posąg egipskiej Izydy, stanie przed młodzieńcem nowa jaka nauka, uchylając zdaleka skraj tajemniczej swej zasłony?

XII.

Przeszłość i przyszłość.

W synagodze, dokąd Dawid przez cały rok żałoby chodził regularnie dla zmówienia Kadyszu, pierwsze jego zjawienie się wieczorem w ubraniu europejskiem wywołało potok wykrzykników, szyderstw i złorzeczeń.

„Patrzcie! Dawid *dem Szames* (syn szkolnika) przechrzcił się naprawdę“ przeleciało z ust do ust.

Ale Dawid, modlący się gorliwie, zupełnie zbił ich z toru i po nabożeńswie wszyscy otoczyli go z ciekawością.

— Gdzieś się podział? Przecież byłeś bakałarzem i na cóż ta komedja?

To nie żadna komedja—odpowiedział Dawid, wyrzucili mnie z chederu, bom nie chciał bić niewinne dzieci, a doktor Heller ulitował się nademną, wziął mnie do siebie, daje mi wychowanie i ubranie, gdym się został bez schronienia.

—Jakto bez schronienia? Alboś nie mógł spać w Bethhamidrasz?

— Ale dla czegoż nie miałbym przyjąć, gdy mi tak wspaniałomyślnie ofiarował przytułek i naukę, której serce moje oddawna pragnęło.

— Jakiejże on ci mógł ofiarować nauki, zaślepiony młodzieńcze, kiedy on sam i jego żona ciągle siedzą nad Trefe posel (książkami świeckiemi)? odezwał się oburzony reb Chaim.

Przecież widzicie, że z tych książek nauczyli się być dobrymi dla swych bliźnich ludźmi.

Na dobrą wszedłeś drogę! Już jak widzę i rozprawiać umiesz, tak jak wszyscy apikojresy, (Jemach szmom wezychrom). — Wielką twój ojciec musiał mieć zasługę u Boga, że go zabrał z tego świata, zanim oczy jego ujrzały teraźniejsze życie twoje, i ten oto krótki spencer, z którego kolana ci wyglądają jak komedjantowi.

— Ależ zmiłujcie się reb Chaim. Jakaż może być różnica przed Bogiem, czy kto krótki nosi surdut lub długi?

— Milcz odszczepieńcze! i nie znieważaj świętego przybytku twemi słowami, wykrzyknął tupiąc nogą reb Chaim — ciebie zły duch od dzieciństwa już opętał i zgnijesz w swej bezbożności, tak jak zginął Korach ze swą rzeszą.

Dawid na te słowa wyszedł z synagogi, ale cała gromada dawnych jego towarzyszy połączyła się z ulicznikami i dorosłemi próżniakami, ciągnąc za jego śladem i szydząc niemiłosiernie z krótkiego jego ubioru i obciętych loków.

Cóż ja im złego zrobiłem, że mnie tak prześladują — rzekł Dawid z boleścią do doktora,

który go spotkał uciekającego przed gawiedzią. Na widok doktora ścigający pierzchnęli na wszystkie strony i Heller przyjął w swe objęcia zadyszanego i obłąkanego prawie Dawida i odprowadził go do domu.

W oknach zajętego przez Dawida pokoju, światło długo błyszczało tej nocy, bo długo, bardzo długo doktor siedział jeszcze przy swoim wychowanku, opowiadając mu dzieje własnego życia i walk swej młodości, odkąd jak daleki odbłysk jutrzenki zawitała mu pierwsza myśl nauki.

Nazajutrz sam doktor zaprowadził Dawida do synagogi i, przystąpiwszy do reb Chaima, rzekł do niego surowo:

— Dawid teraz do mnie należy, a kto się odważy skrzywdzić jego, słowem lub spojrzeniem, zemną będzie miał do czynienia.

To pomogło i odtąd Dawid spokojnie mógł oddawać się modlitwie, a koledzy, unikając go jak zapowietrzonego, nie śmieli jednak wdawać się w żadne z nim dyskursa. Młody chłopak zaś z tej próby wyszedł starszym i dojrzalszym, bo, słuchając opowiadanie doktora, przeżył z nim w duchu całe jego życie i zrobił krok stanowczy do zrozumienia i przebaczenia tego wszystkiego, co go odtąd spotkać mogło ze strony jego współwyznawców.

Znowu wróciła wiosna i Dawid ją przywitał jak dawno niewidzianego przyjaciela. Przysłuchiwał się, czy ona nie zapomniała tych pieszczot, któremi w przeszłym roku tak go za serce ujęła, odkrywał w niej nowe powaby i lubował się dźwięcznym jej głosem. Wieczorem, pod-

czas samotnej przechadzki, najczęściej siadał na wzgórzu za miastem. Ztamtąd widok rozciągał się na kwieciste łany, co się w oddali z szarą krawędzią widnokręgu zlewały, na ciemny las, wabiący go swą tajemnicą jak obietnice młodości, i, wracając z tych wycieczek, godziny całe przesiadywał bez światła przy fortepianie.

Doktorowa, wchodząc raz o późnej godzinie do salonu dla zamykania okien, zastała tam jeszcze młodego chłopca we łzach, a gdy się go o przyczynę tego smutku spytała, odpowiedział jej wykrzykiem zwątpienia.

Czyż z tych klawiszów nieudolne palce moje nigdy wywołać nie potrafią pieśni wiosny, rozlegającej się w świecie Bożym? Czyż one wiecznie będą niememi pod moją ręką i nie zabrzmią mi głosem, który tak wyraźnie słyszę w mojej piersi?

Szczęściem codzień wschodzące słońce rozpraszało te smutne myśli, budząc Dawida do nowej pracy, a zatem i do nowych nadziei.

XIII.

Własne gniazdo.

Około czasu naszego opowiadania w mieście S..... osiadł pan proffessor Lubicz dawny nauczyciel gimnazjalny, który, owdowiawszy bezdzietnie, w miejscu swem rodzinnem spożywał szczupłą emeryturę. Doktor zapoznawszy się z nim w jednym domu obywatelskim, zaprosił go następnie do siebie i wkrótce starzec stał się codziennym prawie gościem w domu państwa Heller.

Dawid, który teraz na żądanie doktorstwa często przychodził do salonu, zwrócił na siebie uwagę pana Lubicza. A ten, dowiedziawszy się o jego przeszłem życiu i gorącej chęci do nauki, poznawszy wielkie w nim zdolności, czując zresztą potrzebę wypełnienia samotnych godzin, zajętych dotychczas obowiązkami powołania i ciążących teraz ołówiem na duszy bezczynnego starca, kazał Dawidowi codziennie przychodzić do siebie, dla udzielania mu lekcij języków.

Dawid, ze skwapliwością przyjął podawaną mu sposobność do dalszego kształcenia się, i wkrótce między nauczycielem i jego uczniem zawiązała się jedna z tych rzadkich teraz przyjaźni, bo będącej ze strony nauczyciela uczuciem prawie rodzicielskiem, śledzącem z radością każde poruszenie tej natury pierwotnej i bogatej, czekającej dotąd ręki mistrza, coby ją na ozdobę i pożytek ludzkości wykształciła, a ze strony ucznia tą pradziwą miłością i tem nadziemskiem prawie uwielbieniem, jakiem młodzi adepci starożytnych swych proroków i mędrców otaczali.

Pan Lubicz, o ile tylko można było, oszczędzał Dawidowi suchych wywodów gramatycznych, nużących młodociany umysł i starał się więcej praktycznym sposobem obznajamiać go z formami języków. Poznał, że tu umysł już dojrzalszy innej wymagał nauki, jakiejby mu podług stopnia jego umiejętności udzielić wypadało. Czytał z nim wiele i to samych doborowych autorów, tłomacząc mu trudne ustępy; wkrótce też Dawid wiele z najcelniejszych poznał pisarzy.

Bogato i cudownie kwitnęła wiecznie zielona

kraina poezji, do ;której Dawid za przewodnictwem ukochanego professora wstępował! Czarownie świat mu się uśmiechał z tych drobnych liter, które pod okiem zachwyconego młodzieńca zamieniały się w roskoszne obrazy szczęścia i sławy! A jednakże im dalej postępował w nauce, tem wyraźniej się okazywało, iż czytanie było dlań tylko środkiem do zaspokojenia ciekawości swej o świecie, muzyka zaś—namiętnością i celem jego życia, do której wszystko w tym świecie odnosił.

W pierwszym zaraz roku nauki swej u professora, Dawidowi, piszącemu pięknie i wyraźnie, udało się dostać do skopjowania prośby, akta, rachunki i tem podobne papiery, a w końcu nawet w kilku domach żydowskich lekcje kalligrafji polskiej i hebrejskiej. Gdyż żydzi miasta S...., których życie jego i ubiór oburzały i którzy synom swoim zabraniali z nim rozmowy, z obawy, aby ich nie zgorszył swym przykładem, nie wahali się jednak ani na chwilę powierzyć mu kaligraficzne wychowanie żeńskiego pokolenia, którego przeznaczeniem było siedzieć po sklepach i kramach, jeździć po jarmarkach, aby uczonych i niedołężnych swych mężów wyżywić.

Dawid, widząc się w możności zarabiania tym sposobem na swoje potrzeby, usilnem naleganiem wymógł na doktorstwie pozwolenie utrzymania się własnym kosztem. Ale szlachetni jego opiekunowie natomiast wyznaczyli mu w swym domu pokoik w oficynie, czysty i wygodny, umeblowali go we wszystkie potrzebne sprzęty i co więcej, kupili dlań fortepian, używany wprawdzie, ale w dobrym jeszcze stanie.

Dawid zaprowadzony do cichego zakątka, który odtąd wyłącznie miał do niego należeć, nie posiadał się z radości i ze łzami dziękował swemu dobroczyńcy, a doktor, installując go w tem nowem mieszkaniu, przemówił do niego w te słowa:

„Jesteś odtąd sam sobie oddany i niezależny. Niech cię pan Bóg od tej chwili ma w swej opiece i drogą pracy poprowadzi do szczęścia. Ale pamiętaj, żeś wybranym z pomiędzy wielu, mój synu, bo cię ojciec niebieski oddarzył talentem. Życie twoje należy do sztuki. Żadne przeszkody niech cię nie wstrzymają na jej drodze, aż spełni się przeznaczenie twoje na ziemi. Nie powiem ci o miłości do Boga i tego pięknego zakonu, którego nam w swej łasce udzielił. Ty będziesz artystą, a prawdziwa sztuka z miłości tylko ten świat pojmować może. Znasz przytem gruntownie świętą naszą naukę, która jedynie nieznającym ją obojętną być może, a uczucie twego serca najlepszym ci będzie przewodnikiem. Im dojrzalsze z czasem będą twoje myśli, tem więcej poznasz, że zakon nasz jest odwiecznem źródłem światła i prawdy, choć go przesąd i obłuda swym cieniem otoczyły.

Ale jeszcze inny na tobie ciąży obowiązek, o którym ci teraz chcę mówić. Jesteś żydem! Strzeż się, abyś nie pogardzał tymi ubogimi braćmi w Izraelu, którzy z wysokości innego większego świata wydawać ci się kiedyś mogą małoznaczącymi robaczkami wśrod wielkiego mrowiska narodów. Wiesz teraz z własnego przykładu, iż między niemi znajdują się natury wielkie i piękne, które, przeczuwając niebo, w ziemskim

jednak nurzać się muszą pyle. Kochaj ich sercem i nie zapominaj, że każdy z nas w miarę sił znosić powinien cegiełkę do wielkiej budowy oświaty naszego ludu. Każde ziarno wiedzy, rzucone w duszę, nieoświeconych jego jednostek, obfity wyda plon nauki i moralności. Każda, choćby najdrobniejsza iskierka oświaty w umysłach ich wzniecona, zapłonie jasnem światłem, które cienie niewiadomości i zacofania coraz bardziej z pośród nich rozproszy.“

XIV.

Doświadczenie.

Dawid, wracający teraz codzień do dzielnicy żydowskiej jako nauczyciel kaligrafji, spotkał się raz z panią Szymonową.

— Nu Dawidku—rzekła, klepiąc go poufale po ramieniu, zdałeś się przecież na bakałarza jak widzę i teraz nie zapomnisz już pewnie o rzemyczkach, bo bez tego niema nauki.

Ale jedno szczególnie spotkanie do głębi wzruszyło Dawida. Była to biedna kobieta, prosząca go ze łzami, aby jej napisał prośbę do Magistratu, o jakąś tam należność od rządu.

— Jakżeż się nazywacie?—zapytał Dawid.

— Alboż to mnie pan nie zna?—Wszak ja to jestem Surusia Szmulówna, która miała być z panem zaręczona. Nie tak to ja wtenczas wyglądałam,—rzekła, patrząc ze smutkiem na ubogie swe ubranie, ale cóż robić? Już tak widać był mój los na tym świecie!

— Przecież ojciec był bogatym i, o ile sobie przypominam, przyrzekał posag i utrzymanie przez całe życie?

— Ojciec ostatni grosz wydał na moje wesele i wyprawy, a posag wypłacił wartością pereł i kolczyków. Spodziewał się wprawdzie pracą swoją i nas wyżywić, ale nowy krawiec przyjechał z Warszawy, wszystkie panie więc do niego się udały, jako do modniejszego, a ojciec został bez roboty.

— A gdzie mąż?

— Mąż perły i kolczyki moje potracił na podróżach do rabinów i na hulance ze swemi chussetami, a teraz pojechał do Warszawy, żeby sobie tam szukać miejsca Melameda, a mnie zostawił bez szeląga. Jedyna moja nadzieja w tej prośbie, gdyż ojcu memu za plac, który rząd od niego zabrał na szlachtuz, należy się trzysta złotych i gdyby mi je oddano, kupiłbym sobie trochę towarów, dla roznoszenia ich po znajomych domach, a możeby mi się ztąd co ukroiło na wyżywienie dziecka mego.

Dawid nietylko, że napisał prośbę, ale opowiadając doktorowi o tem spotkaniu, prosił go o wstawienie się za biedną kobietą i wkrótce miał tę pociechę, że Surusia odebrała należność, mającą dla niej być podstawą do lepszego bytu.

Zajmując się w godzinach przedpołudniowych kopjowaniem i lekcjami kaligrafji, Dawid resztę dnia, a nawet i noce całe trawił na nauce muzyki i czytaniu, a soboty tylko, jako wolne od zatrudnień, przepędzał u doktorstwa, gdzie cichy spokój tego domu teraz podwójnie go uszczęśliwiał.

Pan Heller zwykle w jego obecności naprowadzał rozmowę na przedmioty poważne i nauczające, a z resztą i na Warszawę, do której wkrótce miał się udać Dawid, dla dalszego kształcenia się w muzyce, a opowiadań jego o burzach i pokusach wielkiego świata młodzieniec słuchał z tą ciekawością naiwnego umysłu, na którym opis rozmaitych walk toczących się na tej oddalonej arenie, czynią wrażenie huczącego zdala wiatru, podczas gdy spokojnie jeszcze siedzimy przy domowem ognisku.

— Spotkasz tam młodych chłopców — rzekł raz do niego Heller,mówiąc o Warszawie—którzy wielkie talenta topią w strugach wina, w szatańskich wzruszeniach gry, lub w bezecnym kale rozpusty. Spotkasz takich co zapuszczając długie włosy, zmięte nosząc kołnierze i perorując głośno po kawiarniach, mają się za genjuszów i sarkają na resztę świata, co sumiennej od nich wymaga pracy i nie chce wierzyć, że doskonałość artystyczną nabywa się przy bilardowych stolikach. Uciekaj od nich! Niech cię nie nęci ciekawość poznawania tych ludzi! Bądź pewnym, iż u pierwszych znajdziesz serce wypalone namiętnościami i brudny tylko po nich popiół, a u drugich próżnię i nicość ubraną w jaskrawe łachmany pseudo-artyzmu.

Takie i tym podobne nauki obznajamiać miały Dawida ze światem, do którego miał wstąpić. Ale czyż to będzie dostatecznem do uchronienia go od przyszłych złudzeń i zawodów? Czyż doświadczenie nabyte z drugiej ręki oszczędzić mu potrafi tych prób ogniowych, które nowe

życie pod nową też spotyka postacią, i kto wie będące może warunkiem jego rozwoju, w których w właściwą dopiero skrystalizuje się formę?

XV.

Człowiek praktyczny.

Cztery lata już upłynęły od dnia, w którym ubogi sierota poraz pierwszy wstąpił pod dach opiekuńczy państwa Heller. Cztery lata zapełnione dla naszego Dawida pracą myśli i ducha, a w tym wysokim i urodziwym młodzieńcu, udającym się teraz do Warszawy, którego szlachetne obejście znamionuje przywyknienie do dobrego towarzystwa, trudno już poznać opuszczonego syna szkolnika, któregośmy niegdyś spotkali w Bethhamidrasz. Na białem i gładkiem, jak u dziewczyny, czole, już myśl osiadła poważna; z wielkich czarnych oczu świeci mu ogień rozumu, a twarz i usta zdobi wyraz dobroci połączony z męzką godnością.

Po czułem, ale niemem pożegnaniu drogich mu osób, Dawid, pwiodłszy jeszcze raz łzawem okiem po wszystkiem, co go otaczało, mimowoli prawie, naglony przez niecierpliwiącego się furmana, wsiadł do bryki, co go zawieść miała do stolicy.

Pierwsze godziny podróży, mimo nowych widoków, przedstawiających się oczom młodego podróżnego, przeszły dlań smutnie. Czuł się znowu samotnym na świecie, jak w chwili, gdy mu pierwszą ojczystą zabrali izdebkę. Myślał o swych

dobroczyńcach, o kochanym professorze, o grobie ojca i ulubionem mieszkaniu w S...., jakoby wieki całe już go oddzielały od wszystkiego, co na ziemi ukochał. Serce jego przeczuło znikomość życia i młoda odwaga, gotowa łamać się z przeciwnościami, smutnie stuliła wyrastające skrzydełka.

Ale drugiego dnia nad wieczorem, trakt się ożywił. Po drodze napotyały się częściej już teraz porządne karczmy i piętrowe zabudowania, i Dawid zapomniał na chwilę o przeszłości, w nadziei bliskiego ujrzenia stolicy, żyjącej w jego wyobraźni, jako okazała widownia wielkich ludzi i czynów. Niestety, zapadający zmrok pochmurnej jesiennej nocy zasłaniał Dawidowi upragniony widok Wisły i miasta, i głośne krzyki kłócących się dorożkarzy oznajmiły dopiero podróżnemu, iż na obiecanej Warszawskiej stanął ziemi.

Mało mu teraz pomogło wychylanie się z bryki, bo latarnie, migocące gdzie niegdzie wśród ciemności, fantastyczne tylko ukazywały mu kształty, zostawiając go w niepewności, czy to olbrzymy jacyś lub zaczarowane pałace zdaleka rysowały się na nocnym horyzoncie. Nakoniec stanęli przed bramą wielkiego domu, z którego natychmiast wybiegł służący z latarnią i zaprowadził podróżnych przez ciasną, bo zarzuconą pakami i workami różnego rodzaju, i ledwo oświetloną sień, do izby gościnnej, gdzie przy zastawionym kuflami i kieliszkami stole siedziało z dziesięciu furmanów, pijąc wódkę lub zajadając wieczerzę.

Wśród ogólnego hałasu nikt nie zważał na nowo-przybyłych; podczas gdy reszta podróżnych przybliżyła się do stołu i wychylała spore

kieliszki wódki, Dawid przeziębły i trzymający w ręku swój tłomoczek nie wiedział co począć, położył tłomoczek na ziemię i usiadł na nim strudzony.

Dopiero gdy furman umieścił konie i przywiezione towary, co więcej jak dwie godzin czasu zabrało, wszedł także do izby i, widząc Dawida smutnie siedzącego w kącie, krzyknął na służącego:

— Hej Lejbo! żywo wódki dla mnie i dla tego panicza!

A gdy Dawid wymówił się od wódki, kazał mu przynieść herbaty, a nawet osobny dla niego wyszukał kącik, gdzieby noc tę wygodniej mógł przepędzić.

Nazajutrz, ubrawszy się w najlepsze swe suknie, Dawid wziął z zajazdu małego chłopca dla pokazania mu drogi i udał się do pana doktora Braunthal, do którego miał list rekomendacyjny od swego opiekuna.

W dzień dopiero, cała wielkość i wspaniałość stolicy ukazała się zdumionym oczom prowincyonalnego przybysza, ale rozległość i ruch miasta przestraszał go. Jakżeż tu jednej istocie wypłynąć z tej powodzi ludzi i rzeczy? jakże z pomiędzy tylu twarzy obojętnych wyszukać sobie jednę przyjazną?

Zmęczony stanął przed pięknym pałacem na jednej z głównych ulic Warszawskich i, przeszedłszy szerokie froterowane wschody, zadzwonił u drzwi pierwszego piętra.

Lokaj ukazał się i wprowadził Dawida do niewielkiego eleganckiego pokoju, gdzie na mar-

murowym stoliku leżały rozmaite albumy, gazety illustrowane, i kazał mu czekać na Pana.

Po długiem oczekiwaniu, otworzyły się drzwi wiodące do dalszych pokoi i wszedł krępy mężczyzna, którego spojrzenie przenikliwe, rzucone na naszego bohatera, nie zupełnie się zgadzało z dobrodusznym wyrazem niższej części gładko ogolonej i rumianej twarzy. Dawid podniósł się z siedzenia i zapytał:

— Czy z panem doktorem Braunthal mam honor rozmawiać.

— Pewnie że z nim. A cóż panu brakuje?

— Nie jestem słabym, ale mam list do pana od mego opiekuna doktora Heller z S....

Doktor wziął podawany sobie list i przeczytawszy go odpowiedział:

— Nie jesteś pan wprawdzie słabym, ale mimo tego, jak widzę potrzebujesz mej rady. No! a jakże się tam ma poczciwy Józio? czy ciągle jeszcze chce świat zreformować? Nie wyleczył się jeszcze z tej manii?

Dawid zarumienił się. W jego oczach opiekun był istotą tak dalece wyższą od reszty świata, że słowa, które usłyszał, wydawały mu się bluźnierstwem.

— Czegoż się pan tak zmięszał i nie odpowiadasz? Czyś mnie nie zrozumiał? Pytam się o zdrowie kochanego kolegi pana Heller.

— Opiekun mój dzięki Bogu zdrów jest zupełnie.

— A żona? Głupio się ożenił, to prawda, bo ani była ładną ani bogatą, a wtenczas mu czterdzieści tysięcy dać chcieli, za jedną i to bardzo

piękną panną. Ale zawsze miła to kobietka ta Helena.

— Pani doktorowa Heller także zdrowa.

— Teraz siadaj pan i pomówmy o interessach. Cóż tu pan zamyśla przedsięwziąść i w czem mogę mu być użytecznym?

Ostatnie słowa doktor Braunthal wymówił tonem tak przychylnym, iż Dawid, zapomniawszy o tem co dotąd usłyszał, opowiedział mu, iż przybył dla wydoskonalenia się w muzyce i że chciałby w Warszawie dać lekcye polskiego i niemieckiego języka u bogatszych współwyznawców. Gdyż pan Heller przyrzekł mu wprawdzie roczną pensję, ale on ma mocne postanowienie nieprzyjęcia tych pieniędzy, chcąc sobie samemu już torować drogę do dalszej przyszłości.

Na to doktor odpowiedział:

— Józio jak widzę ani na włos się nie odmienił! Ciekawym jednak jak w tym wieku—liczy bowiem już lat czterdzieści i dwa, zupełnie jak ja — takim jeszcze można być marzycielem. Zajął się losem pana, to rzecz chwalebna. Ale dla czegoż zamiast muzyki, nie otworzył panu raczej drogi do lepszej i pewniejszej przyszłości?

— Jakto panie? zawołał Dawid — czy pan przez to chcesz dać do zrozumienia, że artysta muzyczny żadnej przed sobą nie ma przyszłości?

— Ha, ha ha! zaśmiał się doktor — Artysta muzyczny u nas nawet wielką przed sobą ma przyszłość, jeśli ma sto tysięcy dochodu, wyprawia sute wieczory i na nich grą swoją bawić może darmozjadów, co go w zamian tytułują przyjacielem. Ale taki artysta jak pan, co chodzisz w sur-

ducie wyszłym już z mody od lat dziesięciu i szukasz lekcyi u tutejszych żydów, aby pieniędzmi za nie wyżyć gdzieś pod strychem. Przebacz! jeśli wielkich ztąd dla pana nie widzę nadziei.

— Ależ panie, jeśli artysta taki mimo przeszkód dopnie swego celu, jesli sztuka otworzy mu swe tajnie, nie będzież on wtedy jakby apostołem piękna, który natchnieniem swem ogrzeje ludzkość całą?

—To wszystko mogłoby być doskonałem w książce, szczególnie gdyby dobrze za nią płacili. Ale w naszym świecie powinienbyś pan był uczyć się rachunków i buchhalterji, kiedyś koniecznie chciał wyjść na człowieka. Za lat kilka dostałbyś z jakie 600 rubli rocznie, mógłbyś się ożenić z posażną panną i złoconemi literami wypisać na drzwiach swego mieszkania słowo „Kantor", słowo mające, wierz mi! niekiedy większą własność robienia zlota, jak wszystkie mistyczne formuły średniowiecznych alchimistów. No posmutniałeś pan jak widzę. A przecież służyłem tylko dobrą radą, jak tego po mnie wymagał opiekun pański. Ale cokolwiek pan przedsięweźmiesz, zawsze mnie jednak znajdziesz gotowym na swoje usługi, bo mimo jego dziwactw kocham Hellera całem sercem i prośba jego jest dla mnie rozkazem.

Dzwonek, oznajmujący wejście pacyenta, położył koniec praktycznym radom Doktora i Dawid pożegnał go, zostawiając mu jednak, na jego żądanie, adres zajazdu, w którym mieszkał.

XVI.

Nowe znajomości.

Łatwo sobie wyobrazić, iż rozmowa, którąśmy opisali, nie przyczyniła się do rozweselenia Dawida i do wzbudzenia w nim ufności w siebie, której tak bardzo potrzebował. Miał wprawdzie i drugi list rekomendacyjny, od doktorowej Heller do byłego jej nauczyciela muzyki pana Dalberg, o którym zawsze mówiła ze czcią i przywiązaniem, ale sądząc z pierwszego spotkania, niewiele sobie i po tem obiecał i nie czuł w sobie dosyć siły do usłyszenia z ust jego wyroku, ostatecznie może obalającego dumną budowę marzonej przez siebie przyszłości. A jednak nie przyjechałże z mocnem postanowieniem zwalczenia wszystkich przeszkód, jakiemi by one nie były? Nie przepowiedziałżeż mu opiekun o tej ciernistej drodze sztuki, po której się jedynie poświęceniem bez granic zdobywa koronę żywota?— I gdyby nigdy nie miał dostąpić wspaniałego szczytu, gdzie blask sławy otacza głowę wybrańców, to wtenczas jeszcze, cóż znaczy niedostatek materyalny, cóż wszystkie ofiary w porównaniu z tą roskoszą, jaką samo dążenie do wyższego celu przepełnia serce człowieka?

Tak rozmyślał Dawid, siedząc wieczorem w kącie izby gościnnej i czytając, poraz setny może, przy świetle łojówki, adres listu doktorowej, a na drugi dzień z lżejszem już sercem poszedł dla oddania wizyty panu Dalberg.

Znalazł w nim starca miłej i ujmującej powierzchowności, który, dowiedziawszy się z oddanego mu listu pani Heller, iż Dawid miał niezwykły talent do muzyki i życzył sobie dalej pracować pod jego kierunkiem, przyjął go uprzejmie, posadził blisko siebie i zaczął się rozwodzić przed słuchającym go chętnie młodzieńcem, z pochwałami o dawnej swej uczenicy.

— Wiesz pan, iż dotąd rzadko mi się trafiło spotkać dziewczynę podobną do tej Heleny. Co za praca, co za zamiłowanie do sztuki! Miała i talent, szczególniej do śpiewu, ale nie było to nic nadzwyczajnego. Co w niej było nadzwyczajnem, to to wzniosłe pojęcie o sztuce, to uwielbienie, jakiem ona prawdziwych artystów i to wszystko otaczała, co tylko istotnie pięknego się ukazało na polu muzyki. To nie tak, jak niektóre nasze panny, co tylko po to do mnie się udają, aby się pochwalić, że po dwa ruble płacą za lekcję. Gdyby człowiek nie miał rodziny, nigdyby takim swej pracy nie sprzedawał.

Pierwsze te słowa szczerego uczucia, które Dawid od wyjazdu swego z S.... usłyszał, niemniej jak i pochwały doktorowej, którą kochał i szanował jak matkę, mile obiły się o jego uszy i z wdzięcznością uścisnął rękę starca.

Po półgodzinnej przeszło rozmowie, pan D. kazał przyszłemu uczniowi swemu zagrać co na fortepianie i, wysłuchawszy go z uwagą i rosnącem coraz zadziwieniem, rzekł:

— Już kiedy moja Helena pisze, że pan masz wielki talent i że wzrósł pod jej okiem, to ślepo zawierzyć mogłem. A jednak tego się nie spo-

dziewałem! Jesteś Pan znakomitym artystą, bo grasz z rzadkim czuciem i precyzją, ale trzeba dużo, bardzo dużo jeszcze pracować dla nabycia zarówno wielkiej mechanicznej wprawy, której za późno zaczęta nauka dotąd dać ci nie mogła. Ja panu tutaj chętnie dopomogę, ale za jakiś czas musisz udać się do którego z konserwatorjów zagranicznych, gdyż u nas brak jeszcze odpowiedniego wyższego Instytutu.

— To więcej jak się kiedykolwiek spodziewać mogłem — zawołał uradowany Dawid.— Ale jedno jeszcze pytanie śmiałbym uczynić. Czyż Pan sądzisz, że mógłbym tu dostać miejsce nauczyciela w jakimś zamożniejszym domu naszego wyznania? Umiem dość dobrze po rusku, po polsku, po niemiecku i po hebrajsku, a nawet i trochę po francuzku.

— Będzie to bardzo trudnem. Pan, jak słyszę, nie chodziłeś wcale do szkół, a więc nie możesz być nauczycielem w domu wykształconym, gdzie wymagają gruntownych szkolnych wiadomości, a w takim znów domu, gdzieby się tem kontentowano, co pan umiesz, trudno będzie artyście wyżyć. Są to zwykle ludzie bez żadnego wychowania, którzy, dorobiwszy się majątku, chcieliby dla swych dzieci to kupić, co oni nazywają edukacją, to jest jaki taki polor światowy, który przy ubóstwie umysłowem staje się jedynie grubym materjalizmem. Są i szlachetne wyjątki, ale że ja bardzo mało mam znajomości, niewiele więc panu w tym względzie poradzić mogę.

Dawidowi tak dobrze było przy boku szanownego starca, iż gdy przyszło go opuścić, Da-

wid uczuł się jakby wygnanym z raju, u wrót którego spotka go znowu miecz ognisty, pod postacią tak zwanego praktycznego świata.

Przez cały tydzień Dawid chodził po rozmaitych domach, w których szukano nauczycieli. Ale w jednym pytano się go o patent szkolny, w drugim życzono sobie francuza, w trzecim starszego wiekiem i t. d., a Dawid zupełnie już rozpaczał o wynalezieniu sobie miejsca, gdy jednego dnia, najniespodzianiej w świecie, ujrzał wchodzącego do furmańskiego zajazdu—gdzie dotąd mieszkał—Doktora Braunthal.

— Dzień dobry panie Rautman. Aż tu pana szukać musiałem, gdy się już więcej u mnie nie pokazujesz — zawołał u drzwi jeszcze doktor.

— Pan Doktor tak zajęty, iż obawiałem się przeszkadzać.

— Zobaczysz, iż nie dotyla jestem zajęty, abym tak jak pan zapominał o swych przyjaciołach. Otóż byłem wczoraj u jednej z moich pacjentek, bogatej wdowy, która gwałtem chce jeszcze edukować szesnastoletniego syna swego, i umówiliśmy się z nią, iż da panu stół, kwaterę i sześćset złotych w dodatku, abyś tam udzielał lekcje w godzinach przedpołudniowych, zostawiając panu resztę czasu, do własnej dyspozycji. A cóż, dobrze zrobiłem?

— Nieskończenie obowiązany jestem panu doktorowi za ten dowód przychylności — odpowiedział Dawid. — Ale może ta pani wymaga czegoż więcej jak ja umiem?

— Czego naprzykład?

— Gruntowniejszej znajomości języka fran-

cuzkiego, nauk przyrodzonych, a może i matematyki, a że ja do szkół nie chodziłem....

— Właśnie dla tego pana biorą, żeś nie chodził do szkół i że umiesz po hebrajsku, bo pani Halbkorn — tak się nazywa matka, — myśląc z czasem ożenić swego syna z córką któregoś z pobożniejszych i rabiniczno-arystokratycznych domów, tu, albo na prowincji, nie może jeszcze zrywać zupełnie z dawnemi wyobrażeniami i przeto chłopca swego nie oddała do szkół publicznych i nie przyjmuje tutejszego nauczyciela. No, siadaj pan do mego powozu i jedźmy, bo tam na nas czekają.

Dawid wsiadł do powozu z doktorem, który, udając się do pacjenta, jego wysadził tuż przed domem pani Halbkorn.

W obszernym salonie ozdobionym mnóstwem luster w złoconych ramach, Dawid zastał siedzącą na sofie, pokrytej czerwonym pluszem, kobietę ubraną podług najświeższej mody, a obok niej stojącego chłopca, ubranego także „a la mode du jour“, i mimo nieskończonych jeszcze lat siedmnastu z wszelką pretensją dorosłego dandysa.

— Pan Rothman, jeśli się nie mylę, odezwała się na widok wchodzącego pani domu, podnosząc się lekko z siedzenia.

— Nazywam się Dawid Rothman, do usług pani, — odpowiedział Dawid kłaniając się.

— A więc pan jesteś tym nauczycielem, o którym mi doktór Braunthal wczoraj mówił, i, obracając się do stojącego obok siebie chłopca, dodała.

— Kubciu! Jestto nowy twój guwerner.

Uważaj na wszystko co cię będzie uczył, bo on wszystko umie i zrobi z ciebie skończonego człowieka.

Kubcio spojrzał z uwagą w twarz nowego mentora, który przestraszył się na myśl, iż uczeń jego pewnie się dorozumiewa, wiele jemu samemu jeszcze do skończonego człowieka niedostaje.

— Czy doktor już panu mówił o warunkach i czy pan się na nie zgadzasz?

— Powiedział mi, że dostanę stół, kwaterę i sześćset złotych rocznie, za udzielanie lekcji synowi pani w godzinach przedpołudniowych, a że oprócz tego mam ważne jeszcze zajęcia i więcej czasu ofiarować nie mogę, chętnie się więc na to zgadzam.

— Ja jednak myślałam, iż ponieważ panu tyle daję, bo proszę porachować co to w naszej Warszawie kosztuje stół, to pan, choć nie będziesz dawał lekcji tylko przed południem, — ale za to przez resztę dnia wszędzie mu towarzyszyć będziesz, aby na jego postępowanie uważać.

— Za to, to ja znowu dziękuję — odezwał się z żywością Kubcio. — Już ja nie dziecko jakie i nie potrzebuję przewodnika. Biorę lekcje, bo mi się tak podoba, ale na pasku prowadzić się nie dam, ani przez tego pana, ani przez nikogobądź na świecie.

— Widzisz pan, że już ma swoją wolę—odezwała się widocznie uradowana z energji syna pani Halbkorn — a więc o tem niema co mówić. Co zaś do nauki, to niech go pan tylko jak najwięcej uczy francuzkiego.

— Ależ pani ja wyraźnie mówiłem doktoro-

wi, iż z francuzkiego języka właśnie najmniej rozumiem, bom się najwięcej zawsze zajmował polskim, niemieckim i hebrajskim.

O polski i niemiecki to nie wielka sztuka, mój panie, to u nas każdy kupczyk umie, ale francuzki to grunt, bez tego niema porządnej edukacji.

— Przepraszam panią—odezwał się nieśmiało Dawid—często słyszałem od moich opiekunów, iż gruntowna znajomość naszej literatury ojczystej, jest najważniejszą dla młodego człowieka, i że niemiecka wyrównywa, a pod wielu względami przewyższa może francuzką.

— Mniejsza o to—Ale wiem, że kawaler bez francuzkiego języka nie potrafi komplementu powiedzieć swej damie, jak się należy, ani modnego listu napisać do narzeczonej, słowem, będzie jak handel bez wystawy i wielkich okien. Nazwą go prostym czy staroświeckim, i wszystko w nim po taniej zechcą kupić cenie.

Na to czysto kupieckie porównanie, Dawid jako mało mający doświadczenia w tej sferze, zamilkł zupełnie; kupcowa, sądząc, iż go już przekonała, zapytała jakby z politowaniem:

— A więc pan nic a nic nie umiesz po francuzku?

— Umiem tylko płynnie mówić tym językiem, bom się w przeszłym roku uczył u francuza w naszem mieście. Ale.....

—Jeśli się pan uczył u prawdziwego francuza i umiesz płynnie mówić, to czegoż jeszcze więcej potrzeba? A teraz chodź pan, bo spieszę do

swego magazynu i chciałabym mu jeszcze pokazać jego kwaterę.

Dawid poszedł za panią Halbkorn, która go zaprowadziła do osobnego pokoju, w którym stało całe mahoniowe i eleganckie umeblowanie dla kawalera.

— Jakżeż się panu podoba jego pokój — zapytała kontenta z zadziwienia Dawida kupcowa.

— Wdzięczny pani jestem za tyle dobroci. A jeśli pani pozwolisz, to sobie dziś jeszcze najmę fortepian i tu go przenieść każę.

— Pan grasz na fortepianie? — zapytała z wyrazem osłupienia gospodyni. — A jednak przybywasz z prowincji i umiesz więcej po hebrajsku jak po francuzku? — Ale i to dobrze, bo przynajmniej w zimie będziemy mieli własną muzykę, jak się dzieci uczyć będą tańców.

— Bardzo o tem wątpię, łaskawa pani, gdyż daleką jeszcze przed sobą mam drogę i mimo najszczerszej chęci, nie będę może w stanie kosztownego czasu przepędzić na zabawach.

— Ciekawam, na czembyś go pan lepiej mógł spędzać jak na zabawie i dogadzaniu gospodyni domu — rzekła obrażona pani Halbkorn. — Żeby jak był uczonym, to prowincjonalista widać nigdy nie będzie tak grzecznym, jak nasze Warszawiany—dodała ciszej jakby do siebie.

Po tej rozmomie, kupcowa odeszła do swego magazynu, a Dawid pojechał do zajazdu dla odebrania tam swoich rzeczy i zapłacenia rachunku, a po objedzie stanął znowu w domu swego przeznaczenia, gdzie rozpakował swój tłómoczek i u-

stawiał na biórku ulubionych swych autorów, których mu doktor Heller na wyjezdnem podarował.

XVII.

Robert Djabeł.

Zajęcie to przerwała wieczorem służąca, która przyszła prosić „pana nauczyciela“ na herbatę. Dawid, wchodząc do jadalnego pokoju, zastał panią Halbkorn z synem przy nakrytym stole, przy końcu którego stała przy samowarze młoda osoba nalewając herbatę. Ukłoniwszy się siedzącym, Dawid podniósł wzrok na nieznajomą mu panienkę i spotkał parę wielkich niebieskich oczu, ciekawie na niego zwróconych.

Zmięszany ukłonił się nieśmiało i usiadł na wskazanem mu miejscu przy Kubciu.

Służąca każdemu z kolei rozdawała herbatę, a młoda panienka niosła za nią koszyk z ciastami, ale gdy się ta ostatnia zatrzymała przed Dawidem, mówiąc dźwięcznym głosem „proszę“, to on, spojrzawszy na stojącą przed sobą rzadkiej urody dziewicę, ledwo że nie wypuścił z rąk herbaty i drżącą ręką wziął ciasto z podawanego sobie koszyka.

— Panie Rothman, nie znasz pan jeszcze mej siostrzyczki jak widzę—odezwał się siedzący obok niego Kubcio — a więc trzeba, abym ją przedstawił.

— Panna Leontyna Halbkorn.

— Pan nauczyciel Rothman.

prezentował ze śmieszną godnością Kubcio.

Dawid wstał i jeszcze raz się ukłonił pannie Leontynie, która usiadła naprzeciw niego. Biedny nauczyciel siedział jak na mękach, gdyż ile razy spróbował podnieść oczy w przeciwną stronę, spotykał wejrzenie jej pięknych oczu, które paraliżowało wszystkie jego ruchy.

Przy herbacie, między matką a synem toczyła się rozmowa o nadeszłym dzisiaj transporcie towarów, a Dawid, odchodząc do swego pokoju, zapytał się pani domu, o której godzinie jutro zaczną się lekcje i czy się odbędą w jego pokoju.

— Jutro wcale nie będzie lekcji, ani przez cały ten tydzień, bo nam towary nadeszły, a ja muszę w sklepie dopomagać mamie w przejrzeniu rachunków,—odpowiedział, w miejsce zapytanej, Kubcio.

Dawid spojrzał jakby z zapytaniem na p. Halbkorn, która się odezwała:

— Tak jest, Kubcio nie ma teraz czasu, ale Leosia może go tymczasem zastąpić.—Przyjdź pan jutro o dziesiątej do salonu, to będziesz z nią mówił po francuzku.

Dawid ledwo dosłyszalnym głosem odpowiedział:

— Chętnie pani służyć będę.

Przez całą noc bohater nasz nie potrafił oka zmrużyć, i nic w tem dziwnego. Nie miałżeż jutro pierwszą w swem życiu dać lekcję francuzkiej konwersacji i to nieznajomej sobie panience, której oczy zdaleka już go przestraszały, zdając się przenikać najskrytsze jego myśli? A od czegoż tu tę rozmowę zacząć? czem ją przedłużyć,

przez jednę przynajmniej godzinę, aby go panna przy pierwszej zaraz próbie nie wyśmiała?

Na szczęście, śliczna uczennica nazajutrz przy lekcji, daleko była śmielszą i pewniejszą siebie, niż młody jej nauczyciel; zadawała mu złą francuzczyzną różne pytania, o miejsce urodzenia, o jego rodzicach, jak mu się podobała Warszawa, czy już był w teatrze i t. p., aż Dawid, który z początku krótkie tylko dawał odpowiedzi, zachęcony obejściem panny Leontyny, odzyskał nareszcie odwagę i zdołał już wcale gładko poprowadzić rozmowę, aż do samej godziny objadowej.

Wieczorem grano w teatrze wielkim Roberta Djabła, a panna Leontyna, która się dziś dowiedziała, że Dawid nigdy jeszcze nie był w teatrze, namówiła matkę, aby kupiła lożę i zaprosiła z sobą nowego nauczyciela.—Dawid musiał więc wstąpić z Kubciem do fryzjera i pomyśleć o glansowanych rękawiczkach, zanim wsiadł z wystrojoną p. Halbkorn i jej dziećmi do dorożki, udając się do teatru.

Magiczne światło rozlewa się od sufitu, odbijając się w tysiącznych iskrach, od błyszczących drogimi kamieniami strojów i stokroć cudowniejszych od nich ogniem, oczu pięknych kobiet. Z purpurowych estrad wychylają się białe aksamitne ramiona i główki dziewic, otoczone jedwabnemi lokami, z których unosi się woń pachnideł, tworząc atmosferę ciężką, odurzającą....

A tam głęboko, cóż to za tony wśród zaczarowanego świata? Czyjeż to głosy odgrzebują przeszłość daleką, dla odsłonięcia nam tajemnic zepsutego rycerstwa i ciemnych duchów potępie-

nia? Czyje zaklęcia wywołały z grobu te widma klasztorne średnich wieków, co szalonym swym pląsem manią grzeszną duszę Roberta? A któż ty jesteś Izabello! stworzenie anielskie? Gdzie jest źródło tych namiętnych dźwięków, któremi od ulubionego bronisz się kusiciela.

„Robercie, ty kochanku mój!“ „Łaski.“

Napróżno djable nieczyste twe wzywasz pokusy! Piekło ustąpić musi niebu. Piękność i czystość wypływają z Istoty najwyższego Bóstwa, są brylantami światłej Jej korony, a więc w walce z niemi upadniesz szatanie! Zdepcze cię niepokalana stopa Alicji i znowu pogrąży w otchłań piekielną!

Kurtyna zapada....... Znikło urocze widzenie. Na około, pod stopami, nad głową, powstają krzyki przeraźliwe, ogłuszające klaskanie i tupanie nogami. Jestże to ohydne rzucanie się zwyciężonego Bertrama, który wśród płomieni podziemnych, złorzeczy swemu zwycięzcy? — Nie! mała rączka dotyka się ramienia Dawida, czuje on ciepły oddech na swej twarzy i spojrzenie jego błędnych oczu pada na pochyloną ku nim twarz niebiańską, na obnażoną śnieżną szyję.

To Izabella.... szepnął.

Ale zjawisko przemówiło.— Panie Rothman proszę mi podać rękę, bo się już nie przeciśniemy przez schody.

Była to Leontyna.

Na dworze ciemno, śnieg pada wielkiemi płatami, spóźniono się — dorożki już niema, Kubcio więc prowadzi mamę, a na ręku młodego nauczyciela opiera się lekka sylfida. W sercu jego,

w głowie brzmi nuta „Robercie, ty kochanku mój,“ a Leontyna tak trzyma się jego ramienia, czyż to z obawy o chwiejące się kroki towarzysza?

XVIII.

Dom Państwa Lanzer.

Corocznie w dzień urodzin pana Dalberg, przypadających w miesiącu Grudniu, niektórzy jego uczniowie zbierali się w domu szanownego starca, dla składania mu szczerych swych życzeń i wspólnego wykonywania wybranego na ten cel większego dzieła muzycznego. W tym roku i nasz Dawid zaproszonym został na tę uroczystość familijną, gdzie się znalazł poraz pierwszy w towarzystwie kilku młodych artystów, którzy wszyscy prawie, z gotowością właściwą młodemu wiekowi, starali się zabrać z nim znajomość, wypytywali się o jego tutejsze stosunki, ofiarując mu swą przyjaźń, a zatem i pomoc w każdej możliwej na przyszłość potrzebie.

Jeden z pomiędzy tych młodzieńców, Karol Lanzer, piękny blondyn, tego samego co Dawid wieku, szczególnie był dla niego uprzejmym, przyrzekając go jutro zaraz odwiedzić i przedstawić nawzajem w domu swych rodziców.

— Możesz podziękować Karolowi za tę propozycję — odezwał się gospodarz, który właśnie stał około nich. — Poznasz bowiem w ich domu, że nie wszyscy Warszawianie są podobnymi do twojej kupcowej, znajdziesz tam nie jednę osobę,

która ci żywo przypomni państwo Heller, nie jeden wzór do naśladowania.

Dobrzeby było, gdyby wszyscy nasi młodzieńcy uczęszczać mogli do takich domów, toby ich na zawsze odstręczyło od mniej godnego towarzystwa.

Z obecnych wszyscy prawie znali państwo Lanzer i odzywali się o nich z pochwałą; Dawid więc przyjął z wdzięcznością zaproszenie Karola, otwierające mu drzwi do gościnnego domu jego rodziców.

Ojciec Karola, pan Lanzer, był to starzec sześćdziesięcioletni, posiwiały w ciężkim zawodzie prywatnego nauczyciela. Znany i szanowany powszechnie, dla długoletnich zasług położonych około wychowania młodzieży izraelskiej, jak i dla cenionych wielce prac, na polu literatury polskiej i hebrajskiej, pomimo że skromny tylko dom prowadził, przyjmował jednak u siebie młodych artystów, literatów i bogatych nawet przyjaciół oświaty, a ci ostatni wspierali go też we wzorowem wychowaniu licznej jego rodziny.

Niemłodsza od niego wiekiem pani L., wychowana była, jak za jej czasów wszystkie w ogóle dziewczęta nasze; ale obdarzona szlachetną duszą i wyższą intelligencją, przy pomocy kochającego ją męża, rozwinąć zdołała naturalne swe pojęcia. Zrozumiawszy prawdziwy cel życia kobiety, poświęciła dni swoje kształceniu umysłu i serca swych dzieci, czuwając z troskliwością nad wpajaniem w nich stałych zasad religji i cnoty, nad oddalaniem od nich przykładu niedouczonej a zarozumiałej o sobie młodzieży, nad wytłomacze-

niem im, nie słowem ale czynem, znaczenia obowiązków i godności człowieka w społeczeństwie.

Z siedmiorga dzieci państwa L., trzy starsze córki były już szczęśliwemi żonami uczciwych i światłych kupców, dwóch synów już ukończyło nauki i byli, jeden lekarzem w Warszawie, a drugi kaznodzieją za granicą. Karol, odebrawszy staranne wychowanie, a mając skłonność do stanu kupieckiego, pracował w kantorze jednego z bogatych bankierów, a najmłodsza piętnastoletnia córka, Reginka, której talent wielkie rokował nadzieje, kształciła się w muzyce.

Wprowadzony do tej zacnej rodziny, Dawid tak serdecznego doznał przyjęcia ze strony wszystkich jej członków, a szczególnie ze strony samej pani L., która poznawszy go bliżej tak nalegała, aby ich częściej odwiedzał, że odtąd dwa razy na tydzień przychodził wieczorem do ich domu, dla słuchania nauczającej rozmowy starszych, lub też dla poufałej gawędki z Karolem, z którym wkrótce łączyła go już czuła i wylana przyjaźń młodzieńcza. Nieraz także spotykał tam małe ale dobrane grono, to poważnych mężów, to łaknącej nauki młodzieży, którzy przy szklance herbaty roztrząsali ważne kwestje społeczne, literackie, a nawet i naukowe, albo przysłuchiwali się grze Karola i młodziutkiej jego siostry, która grą swoją wzbudzała podziwienie znawców.

Trudno było widzieć coś bardziej szlachetnego, nad tę lekką postać piętnastoletniego dziewczęcia, pochylonego nad fortepianem; nad te długie i ciężkie warkocze złotych włosów, spadające czasem w zapale gry na jej czoło i marmarowej

prawie bladości twarzyczkę; nad to głębokie spojrzenie ciemno-szafirowych oczów, gdy po ukończeniu jakiejś poważnej sonaty, pomału podnosiła wzrok od leżących przed nią nut, jakby sobie dopiero przypominać musiała, gdzie się znajduje. A jednak wszystko to znikało, gdy usiadła napowrót u boku swej matki. Było to wtenczas tylko zwyczajne blade dziecko, wyglądające najwięcej na lat trzynaście, które ze swem wprawnem szydełkiem lub igłą w ręku nie zwracałoby niczyjej uwagi. Czasem tylko zabłyśnięcie jej wzroku, lub nagły spoczynek igły w jej ręku, gdy rozmowa toczyła się między starszymi o jakimś przedmiocie, który ją zajmował, bacznego spostrzegacza wprowadzić mogły na domysł, iż wątłe to ciało niepospolitą ożywione jest duszą. Ale Dawid, który podziwiał z innymi grę Reginki, zresztą mało zważał na to zawsze milczące dziecko, które, oddalone od fortepianu, nie wiele go zajmowało.

Jednego tylko razu, uderzony został szczególnemi jej słowami. Przybywszy wieczorem do państwa L., zastał w salonie jednego tylko Karola, zajętego pisaniem jakichś listów, gdyż rodzice jego wyszli, a Reginka była w swoim pokoju. Karol na widok wchodzącego przyjaciela, wstał od stołu i poprosił go, aby tymczasem usiadł do fortepianu, gdyż za pół-godzinkę może mu służyć. Dawid usłuchał, ale zaledwie zaczął grać, gdy swoim zwyczajem zapomniał o wszystkiem i coraz dalej uniesiony myślami, zatopił się cały w nieskończonem allegro i nie uważał jak Karol i Reginka—która tymczasem weszła do salonu—w milczeniu stanęli za jego krzesłem.

— Musisz pan być bardzo szczęśliwym w tej chwili—odezwał się cichy głos za nim.

Dawid obrócił się i spotkał łagodny wzrok Reginki.

— Zkąd to wnosisz?—zapytał się Karol.

— Bo gra jego była radosną jak poranny śpiew skowronka w dniu pogodnym — odrzekła młoda dziewica.

— Czyliżby ona w istocie odgadnęła—spytał się Karol zmięszanego przyjaciela.

— Odgadnęła zupełnie—odpowiedział tenże, rumieniąc się.

XIX.

Zwierzenia.

My zaś, chcąc się dowiedzieć o przyczynie szczęścia naszego Dawida, musimy wejść do pokoju Leosi Halbkorn, gdzie zastaniemy piękną tę panienkę, w rozmowie z żywą i zgrabną szatynką, przedstawiającą nam się jako panna Cecylia Prossnitz, zaufana jej przyjaciółka.

— Wiesz Leosiu! — mówiła ta ostatnia—żeś prześlicznie wtenczas wyglądała w teatrze, w tej koronkowej bercie i różowych kwiatach. Wszyscy nasi znajomi nie mogli się tobie nadziwić, a nawet słyszałem, jak z sąsiedniej loży, gdzie siedziało kilku nieznajomych panów, wyglądających na obywateli wiejskich, jeden do drugiego powiedział, pokazując na ciebie „La charmante fille.“

— Pochlebiasz mi Cesiu! A jednak widzisz,

że twój brat nie jest tego zdania, skoro się ma wkrótce oświadczyć brzydkiej Polci Krejsler.

— Darmo się na niego gniewasz moja kochana, bo niema ani słowa prawdy w tem co ludzie mówią, i samaś przecież uważała, jak Władzio ciągle miał oczy zwrócone na waszą lożę.

— Bo ciekawy był, wiedzieć, kto był ten pan, co około mnie siedział. Nieprawdaż, że przynajmniej piękniejszy od jego Polci?

— Daj mi pokój z tą Polcią, biedny Władzio o tobie tylko myśli i przez cały ten wieczór bladł i czerwienił się z zazdrości o twego sąsiada. — A propos! cóż to był za jeden?

— To nowy Kubcia guwerner, pan Rothman.

— Guwerner? Aniby mi to na myśl nie przyszło, myślałam, że to jakiś bogaty pan. Ale co piękny to piękny! Czy uwierzysz, że ja i Julka, chcąc dobrze mu się przypatrzyć, naumyślnie pierwej wyszłyśmy z teatru i czekałyśmy w kurytarzu, aby was widzieć przechodzących. Ale czy on jeszcze u was jest?

— Naturalnie że jest, tylko że zamiast Kubcia, który niewiele ma ochoty do nauki, daje mnie lekcje francuzkiego.

— Rozumiem. A ty Leosiu, pewnie uważną jesteś uczennicą. Jak mamę kocham, że szczęśliwą jesteś dziewczyną. Ale jakżeś się zaczerwieniła moja droga! cóż to szkodzi, jeśli podbijesz serce tego pana?

— Ty sobie żartujesz Cesiu! a jednak on już w istocie jest we mnie zakochanym.

— Czy ci to powiedział?

— Zdaje się, że nie śmie, choć tak zawsze

się rumieni i wzdycha, gdy jesteśmy przy lekcji.

— Musi przecież być grzecznym, nadskakującym?

— Wcale nie. On taki poważny i milczący.

— Jeśli tak, to ten twój wielbiciel strasznie musi być nudnym.

— Dziwna jesteś! Wszak to tak romantycznie, czuły kochanek wzdychający w milczeniu, jakeśmy to sobie nieraz życzyły na pensji, a przytem on tak podobny do księcia „Dżałmy“ w Żydzie tułaczu, takie same oczy, włosy, cera blada i interessująca, a ja jego tak kocham!

— Jak widzę, tobie już naprawdę ten panicz do głowy zajechał. Ale cóż to dalej z nim będzie?

— Będziemy się kochali stale, aż mama pozwoli na nasze połączenie.

— Wiesz bardzo dobrze, że to nigdy nie nanastąpi.

— To w najgorszym razie, pojadę z nim za granicę, dokąd podobno się ma udać, będzie wtenczas porwanie, tajemny ślub, alboż raz o tem czytaliśmy w powieści?

Tak to panna Leontyna zwierzała się ze swych serdecznych uczuć przyjaciółce, a Dawidowi tymczasem szybko i błogo upływały godziny, w towarzystwie powabnej a niebezpiecznej uczennicy; miękko odzywały się w samotności jego pokoju akkorda fortepianu niewysłowionem a gorącem uczuciem młodego serca, tęsknotą, nadzieją, miłością, cichemi westchnieniami, z których jak perły kosztownego naszyjnika wysuwały się, jedna po drugiej, smętne a cudowne melodje, gi-

nące samotnie i nieznane jak powstały. Szczęśliwy młodzieniec! Tak słodko spoczywa w objęciach pierwszego złudzenia miłości,—aby się tylko nie obudził zawcześnie!

XX.

Walka.

Niewiedzieć czy napomnienia matki, czy też inne jakie okoliczności nagle przerwały ważne zajęcia młodego Kubcia, które mu dotąd nie pozwlaały oddać się nauce, ale jednego dnia, w trzy miesięcy już po przyjęciu mu nauczyciela, tenże ujrzał go zrana wchodzącego do swego pokoju, w szlafroku z cygarem w ustach, a Kubcio, rozparłszy się wygodnie w stojącym tam fotelu, oświadczył, iż przyszedł na lekcję.

Dawid choć zdziwiony tą niespodzianą już propozycyą, wziął się jednak niebawem do examinowania swego elewa i okazało się, że tenże oprócz czytania i pięknego dość pisania po niemiecku i pierwszych początków arytmetyki, nic więcej nie umiał. Co zaś do języka hebrajskiego i religji, to wiadomości jego ograniczaly się na płynnem czytaniu modlitw, choć bez najmniejszego pojęcia akcentu, i na pomięszanej wiadomości historji świętej, podług której Faraon miał podobno zburzyć świątynię Jerozolimską, a Nebuchadonozor odbudować i t. d.

Po ukończeniu egzaminu Kubcio podał rękę swemu nauczycielowi, mówiąc:

— Pan mi się bardzo podobasz, i pewno bę-

— Pan mi się bardzo podobasz, i pewno będziemy z siebie kontenci. To zupełnie inaczej jak z tym starym nudziarzem poprzednikiem pańskim, co wymagał, abym ciągle tylko ślęczał nad książkami.

— A od czegoż byłbym nauczycielem —odrzekł Dawid łagodnie—gdybym od ciebie nie wymagał pilności, moje dziecię?

— Tylko proszę mnie tak nie nazywać, boś pan przecież nie o wiele odemnie starszy; wiem, że pan czujesz się zobowiązanym wpychać do mej głowy jak najwięcej ze swej nauki, aby mama była kontenta i dobrze mu zapłaciła...

Otóż ja panu mówię, że niepotrzebnie sobie głowę suszysz, bo mama sama nie wiele umie i ślepo uwierzy, co jej pan powiesz.

— Jakżeż śmiesz tak o mnie sądzić i tak mówić przed obcym o własnej matce?

— Alboż to pan obcy?—No, nie gniewaj się pan, a będziemy dobremi przyjaciołmi. Powiesz tylko mamie, że się dobrze uczę, a za tę grzeczność dostaniesz odemnie co tydzień paczkę dobrych cygar i bilet do teatru.—Wszak uważałeś pewnie, jak prześliczne mamy baletniczki!

— To już nadto! wykrzyknął, zrywając się z siedzenia Dawid.

— Ja cygar nie palę i o baletniczki nie dbam, a przyjęty jestem do nauki; jeśli ci się nie podoba, to się o inne miejsce postaram.

— Jaka z pana gorączka! Cóż to panu może być za różnica, czy ja się uczę czy nie?

— Bo byłbym najgorszym, gdybym u twej matki brał pieniądze, kłamiąc, że ci się za nie wypłacam nauką.

— Ja teraz pójdę, boś pan zły, choć naprawdę nie wiem dla czego. Ale jak się zreflektujesz, to znowu wstąpię po pana i zabiorę cię po obiedzie do znajomego mi lokalu, gdzie śliczna niemka gra na arfie i śpiewa.

I Kubcio wybiegł z pokoju.

Nie pierwszy to już raz Dawid poznał sposób myślenia tak matki jak i syna, oraz przedwczesne zepsucie serca młodego Jakóba, przedstawiające mu się dziś w całej swej nagości, ale poraz pierwszy może stawił sobie pytanie, co dalej począć...

Odejść i rzucić ten dom niegodny? Była to prosta droga i najkrótsza. Ale wybaczmy dwudziestoletniemu artyście, jeśli na tę myśl stanęła przed nim czarowna postać modrookiej Leontyny i jeśli serce jego gwałtownie zabiło na przypomnienie tych chwil upojenia, gdy wracając nieraz z nią z teatru lub przechadzki, powabna jej główka spoczęła na jego ramieniu. A cóż znaczyło, wczoraj dopiero, to długie uściśnienie miękkiej rączki, z której naumyślnie może zdjęto rękawiczkę, gdy jej wzruszonym głosem życzył dobranoc?

Opuścić to miejsce mieszczące w sobie istotę, której obraz tak głęboko wpił się w duszę młodzieńca, iż znajdował go na kartach poezji, w główkach nót i na klawiszach fortepianu? Zniszczyć własną ręką te wszystkie nadzieje szczęścia, które te lube usta mu przyrzekały?

Nie! to niepodobna!

— Będę cierpiał—mówił sobie w sercu. Będziesz kłamał — odezwało się sumienie. — Pierw-

sza i zacięta walka! A przy boku walczącego niema opiekuńczego ducha, coby go zasłaniał.

Niema Alicji, któraby pokonać mogła kusiciela!

XXI.

Jeszcze doktor Braunthal.

Nie masz nic przyjemniejszego dla niektórych ludzi jak widok dobrze urządzonego kawalerskiego saloniku, gdzie przepych ustępuje miejsce staraniu o wygodę, gdzie podłoga i sprzęty nie mają wprawdzie blasku zdradzającego rękę pracowitej gospodyni, ale za to tak jakoś przyjacielsko na nas poglądają, tak przyjaźnie wyciągają do nas ramiona, zapraszając do stąpania po tych miękkich kobiercach, do spoczywania w okrągłych fotelikach, których sam kształt już mówi, że w tym szczęśliwym przybytku, życie nie ma żadnych kątów ostrych; że tu niema się co obawiać spojrzenia pani domu, któreby nas skarciło za świętokradzkie zgniecenie szydełkowych pokrowców, ani napominających słów surowego ojca rodziny, mówiącego o potrzebie pracy i poświęcenia się i tem podobnych rzeczy — wielce może potrzebnych, ale — niemile rażących ucho największej części młodzieży. Dodajmy do tego zapach hawańskiego cygara, a będziemy mieli dostateczny obraz miejsca, w którym doktor Braunthal, na wpół leżąc na szezlągu, dla strawienia wybornego objadu, przyjmuje Dawida, oddającego mu jednę z rzadkich wizyt, które grzeczność niemniej jak

i wdzięczność koniecznie od niego wymagały.

— A to pan! Anim się spodziewał zobaczyć go u siebie,—zawołał, z lekkim cieniem wyrzutu, gospodarz do kłaniającego mu się młodzieńca.

— Przepraszam najmocniej pana doktora, ale obowiązki—nauka...

— Obowiązki? nauka? powiedz to pan komu innemu. Starego lisa nie oszukasz. Wiem ja dobrze co się święci, że u mnie niema ani pięknych oczów Leosi, ani delikatnych paluszków panny Lanzer, ale wiem też, że przyjdzie czas, w którym moje rady i pomoc więcej się przydadzą, jak te wszystkie ładne dziewczęta, któremi sobie tylko darmo głowę nabijasz.

— Prawdziwie nie wiem, co panu doktorowi mogło dać powód do takich ubliżających myśli. Że często bywam u państwa Lanzer, to jeszcze nie oznacza, abym śmiał pomyśleć o ich córce.

— No no! nie usprawiedliwiaj się mój młody panie, bo ci i tak chętnie uwierzę, że mając co dzień przed oczami taki rzadki egzemplarz dziewczyny jak twoja uczennica, trudno jest pomyśleć o jakiejś tam bladej pannie Reginie, dla samej miłości ku jej pedanckim rodzicom. Ale słuchaj mnie, panie Rothman, i nie patrz tak często w twarzyczkę Leosi, bo możesz stracić miejsce, które w twojem położeniu jest bardzo korzystnem.

— Gdyby nie ona, dawnobym już je opuścił! wybuchnął Dawid, zapominając się.

— A to dla czego, jeśli zapytać wolno? Przyznaję, że pani Halbkorn daleko mniej ci się

podobać musi jak figlarna jej córeczka, choć ja pamiętam jeszcze czasy, kiedy i ona była wcale gładką i żwawą kobietą. Ale teraz za to jest bogatą, płaci dobrze i płaciłaby jeszcze lepiej panu guwernerowi, gdyby się ten raczył zniżyć, choć do najmniejszej dla niej grzeczności; masz ucznia, który łata Bóg wie gdzie i zostawia ci twoją złotą wolność, zapraszają cię do teatrów, na zabawy i czegoż jeszcze więcej potrzeba?

— Trudno mi na to odpowiedzieć, bo się nigdy w tym przedmiocie nie porozumiemy.

— Tak to zawsze z temi zapalonemi głowami. Gadaj im, że mogliby żyć po ludzku, mieć wszystkiego po uszy same, a oni ci odpowiedzą, że ich nie rozumiesz. Ale na dowód, że cię aż nadto rozumiem mój panie, powiem ci, że jesteś na fałszywej drodze, bo się kochasz w Leosi, która ci wprawdzie robi słodkie oczki, ale w gruncie chce się tylko bawić twoim kosztem i pochwalić się przed przyjaciółkami, że została bohaterką romansu jak jaka druga czy trzecia Heloiza.

— Wybacz panie doktorze, ale nie żądałem rady w tym względzie i nie mogę dozwolić, abyś pan, choć mu tyle winienem, w mojej obecności tak mówił o osobie...—Którą ubóstwiasz. Nieprawdaż? Ależ ubóstwiaj sobie wiele chcesz mój przyjacielu. Ja cię tylko przestrzegam, abyś na ślepo nie leciał w przepaść, z której, jeśli wyjdziesz całym, to bezwątpienia nie mniej ubogim i nieszczęśliwym.

Na to Dawid nic już nie odpowiedział. Doktor, zawołany nieprzyjaciel wszelkiego milczenia, chcąc go rozerwać, zaczął mu opowiadać mi-

łosne przygody swego akademickiego życia. Sądząc jednak z wyrazu twarzy młodzieńca, nie przypuszczamy, aby opowiadania doktora, choć często przeplatane głośnym śmiechem, rozproszyć zdołały te chmury, któremi przyjacielska rozmowa otoczyła jego czoło.

Boleśnie dotknięty niedyskretnemi słowami jowialnego doktora, znieważającemi uczucie, z którego sam sobie nie zdał jeszcze sprawy, i które przeto, jak mu się zdawało, głęboko w sercu ukrywał, Dawid nie pomyślał jednak ani na chwilę o dawaniu wiary niepochlebnym słowom Braunthala o Leosi. Bo czyż doktor, przywykły zawsze tylko widzieć plamy na słońcu, w oczach Dawida zdolnym był ocenić dziewicę, którą on kochał z tem uwielbieniem pierwszej miłości odnoszącem się raczej do wymarzonego przez się ideału, ubranego w pierwsze lepsze kształty kobiece? Czyż podług niego człowiek, który w najwyższych dobrach ludzkości widział tylko środki do nabycia dobrobytu materjalnego, zrozumieć potrafi czułe serce jego kochanki, wyraźnie malujące się w każdem jej spojrzeniu tak namiętnie wymownem, w każdym jej ruchu tak cudownie pięknym i giętkim, w dźwięku jej głosu tak dziwnie poruszającym całą jego istotę?

Tak więc skutkiem niepojętej sprzeczności ludzkiego serca, przestrogi doktora wywołały w Dawidzie zupełnie przeciwne uczucie. Myśląc o tych zaletach Leosi, mających świadczyć o bezzasadności czynionych jej zarzutów, uczuł dopiero, iż ją kochał nad życie i że odtąd sztuka, ta pierwsza jego oblubienica, nie potrafi mu już zastąpić promienia niebieskiego jej oka.

Leosia też wkrótce z tajemnym tryumfem dostrzegła, iż wzrok młodego jej nauczyciela częściej teraz i to ze szczególnym jakimś wyrazem na niej spoczywał, że rzadziej oddalał się wieczorem z domu i nie unikał już nawet większego u nich towarzystwa, skoro ona się tylko tam znajdowała. Przyrzekła więc sobie wynaleść sposobność dla wywdzięczenia się i otworzenia nareszcie milczących ust wahającego się jeszcze młodzieńca.

Tymczasem pani Halbkorn zajęta ciągle interesami w sklepie, niemniej jak i staraniem o dokończeniu światowej edukacji ukochanych dzieci, nie domyślała się bynajmniej planów swej córeczki, a Kubcio, choć zaraz z początku się na tem poznał, nie myślał jednak przeszkadzać intrydze miłosnej, która go uwalniała z uciążliwego nadzoru, i tak siostrę jak i Dawida czyniła zawisłymi od jego woli.

XXII.

Uczta Zapustna.

(Sudath Purym.)

Z wielu dziś okien i okienek—począwszy od eleganckiego pierwszego piętra aż do ubogiego poddasza — rzęsiste światło bije na błotnistą ulicę; z wielu z nich, mimo szczelnego jeszcze zamknięcia zimowego, dochodzi do uszu przechodnia słaby odgłos muzyki, mięszając się ze świstem marcowego wiatru.—To żydzi dziś święcą uroczystość Purym.

Masek, muzykantów, błaznów, wszystkiego znajdziesz potrosze w zabawie purymowej. A jednak nie są to zwyczajne zapusty, jakby z tego pozoru sądzić można. Nie sama tylko chęć zabawy otwiera dziś podwoje każdego żydowskiego domu, dla tej różnorodnej zgrai, ale chęć wspierania dumnej nędzy, ukrywajęcej się czesto pod maską—jak nędza dawniejszych weneckich nobili—i tylko raz do roku dzięki temu przebraniu wyciągającej schudłą rękę po jałmużnę, i wykonania tym sposobem pięknej myśli Mordechai: „i dacie *podarunki* dla potrzebujących.“

Właśnie w to święto purymowe spotykamy Dawida w domu państwa Lanzer. Po dniu poświęconym wspomaganiu biednych braci, pani L... wlewając i drugą połowę szlachetnej myśli tradycji w nowożytne formy przyjęcia, zgromadziła u swego stołu tych ze znajomej sobie młodzieży, którym oddalenie od ojcowskiego domu nie dozwalało przepędzić tego wieczoru, wśród własnej rodziny.

Przy skromnej ale z gustem urządzonej uczcie zapustsnej, młodzież, zachęcona uprzejmą gościnnością pani L., oddawała się tej naturalnej i niewymuszonej wesołości, której żadne huczniejsze zabawy, żadne wyziewy szampańskiego, nigdy w zupełności zastąpić nie zdołają. Ale gdy po ukończeniu kolacji, goście zaczęli dziękować państwu Lanzer za dzisiejsze przyjęcie, to sędziwy p. L... wstał z miejsca i przemówił:

„Nie dziękujcie mi moje dzieci. Nie masz nic milszego dla starca, jak cieszyć się widokiem naszej zabawy, jeśli ona jest tylko rozrywką po ca-

łorocznej pracy i wytrwałości. Dałby to Pan Bóg, aby rok przyszły o tym czasie na nowo nas połączył i wszystkich, jak tu jesteście, zastał również niezepsutych sercem, również przejętych wysokiem zadaniem ludzkości, również smakujących w niewinnych uciechach rodzinnego życia, gdzie przyjemność może być tylko nagrodą spełnionej uczciwie powinności.

„Czy wiecie co u nas tamuje drogę prawdziwej oświacie, co jest powodem lekkich obyczajów, tej płochości umysłowej i niewiadomości religijnej, napotykanej w niektórych naszych izraelskich domach? Oto, połączenie się dwóch tak na pozór sprzecznych z sobą żywiołów: przesądów średnich wieków, z najgorszem złem obecnych czasów—żądzą łatwego użycia i ostentacji.

Po krótkiej pauzie ciągnął dalej pan L.....

„Często widzimy rodziców, którzy, sami wychowani na łonie dawnych wyobrażeń, w obliczu nowych potrzeb swego czasu nie zawsze wznieść się mogą do zdrowego poglądu w kwestji wychowania swych dzieci. Otrząsnąwszy się z powagi tradycji, razem z niewygodnemi pętami ascetyzmu zarzucają czasem i czystą treść samej religji, i każdą stałą podstawę obowiązku. Chcąc młodemu pokoleniu oszczędzić przykrości, jakich sami niegdyś doznawali ze zbyt ścisłych wymagań religijnego życia, otwierają mu na rozścież wrota do wszelkich uciech, nie bacząc na to, iż młodzież ta, przygotowana przez gruntowne wykształcenie do rozwagi, do pojęcia świętych powinności życia, musi stać się pastwą wszystko niszczącego materjalizmu, który z czasem wy-

ziębia w człowieku każde uczucie szlachetniejsze, hamuje każdy polot ducha. Odpowiecie mi może, że jest to chorobą całego wieku, nietylko naszą wyłączną. Prawda ! wielka niestety prawda ! Ale czyż potomkowie tych, których Pan Bóg niegdyś powołał do oczyszczenia ziemi Kananejskiej z zepsucia, nie powinni i obecnie stać na straży czystości serc i umysłów? Czyż dzieci ludu, który w starożytności jedynym był piastunem surowej myśli Jedynobóstwa, nie powinny przodkować innym w poważnem zrozumieniu przeznaczenia człowieka?

„Dzieci ! Ja, starzec nad grobem stojący, piję za wasze zdrowie, bo w was widzę zaród lepszego życia, które oby ziściło to wszystko, co teraz obiecuje, obyście pojęli prawdziwego ducha Judaizmu !“

Głośno zabrzękły kieliszki i rozradowały się serca młodzieńców; a gdy ucichł gwar, jeden z nich zabrał głos i rzekł:

„Mamyż smucić się słowami, które szanowny gospodarz powiedział w tej chwili? Mamyż obawiać się o przyszłość Judaizmu, w obec tej grożącej mu nowej plagi materjalizmu ?

„Czyż nie widzimy coraz wyraźniej, że jest to złe tylko przechodnie, jedna z faz, w którą ludzkość—a z nią i Judaizm, na drodze swego rozwoju, wstąpiły tylko na chwilę i z której wkrótce wyjdą czystsze i zwycięzkie? Czyż i teraz już wśród żydów niema ogromnej liczby rodzin, przenikniętych wielką ideą społeczną, wielkiem słowem naszego czasu, *naprzód*?

„*Naprzód* w pracy użytecznej dla siebie i dru-

gich! *naprzód* w uszlachetnieniu siebie i braci swoich—nietylko w wierze, ale—w człowieczeństwie całem! Czyż liczba tych rodzin nie pomnaża się u nas z dniem każdym? Czyż to samo nie cechuje epoki zbawiennego przejścia dla Judaizmu, że widzimy powstających wśród nas mężów, z olbrzymią siłą moralną, którzy jak Atlas biorą na swe barki potrzeby i wymagania swego stulecia i nigdy niezmęczeni stoją na czele orszaku ludzi przyszłości, walczących nieustannie przeciw duchowi ciemności, przeciw przesądom, materjalizmowi i pauperyzmowi; którzy ostatkiem sił chcą jeszcze wyważyć z podstaw kruszące się już mury z warowni przeciwnika, nie dla tego aby niszczyć, ale aby na miejscu grożącej przechodniom ruiny odbudować trwały gmach dla potomności.

„Dla tego bracia moi, pijmy za zdrowie jednego z tych cichych bohaterów, za zdrowie tego, który życie swoje styrał w usługach postępu i który dotąd nam młodym świeci szlachetnym przykładem na jej drodze! Niech żyje pan Lanzer! Cześć każdej pięknej i wzniosłej myśli! Cześć sumiennym jej wykonawcom!“

Nie uszło to uwagi Karola Lanzer, że podczas ogólnej wesołości, panującej przy stole, żaden z dowcipów towarzyszy nie potrafił wywołać uśmiechu na obliczu Dawida, które podczas długich mów toastowych jeszcze bardziej się zasępiło, i że gdy młodzież po kolacji wzięła się do tańców, Dawid usiadł w najciemniejszym kącie salonu.

Już od niejakiego czasu Karol zauważał, że

jakaś zmiana zaszła w młodym jego przyjacielu, że rzadziej ich odwiedzał, że często bywał roztargnionym i smutnym, a kochając go jak brata, szczerze ubolewał nad tem usposobieniem Dawida. Upatrzywszy tedy sposobną chwilę, gdy reszta gości zajęta skocznym mazurem nie zważała na nich, przybliżył się do Dawida i rzekł do niego:

— Drogi przyjacielu! Czyż już nie godzien jestem twego zaufania, że nie chcesz się teraz podzielić zemną swoim smutkiem, jakeś się dotąd zawsze podzielał każdą myślą i nadzieją?

— Ty, Karolu? — odpowiedział Dawid, podnosząc głowę i łza zabłysła w jego oku. — Ja to raczej nie czuję się już godnym twej przyjaźni. Ale gdybyś wiedział jak ja cierpię, możebyś się ulitował nademną.

— Otwórz mi więc serce i powiedz, co może być powodem do tych cierpień?

— Czyż ty Karolu, któryś przywykł do towarzystwa takich rodziców i przyjaciół, pomyślałeś kiedy, co to znaczy obcować ciągle z istotami pospolitemi i czuć, jak coraz bardziej bledną kolory jasnego obrazu, który nam się dotąd wydawał światem? jak dusza nasza kurczy się i tępieje, w codziennem stykaniu się z temi ludźmi ciasnego pojęcia i spaczonych zasad moralnych?

— A któż cię zmusza do zniesienia tego? Nie możeszże wyszukać sobie innego miejsca? Nie maszże w nas przyjaciół, którzy ci we wszystkiem dopomódz gotowi?

— A ona?

— Któż taki?

— Leontyna! Ta, której obecność jest dla

mnie potrzebą, jak powietrze, którem oddycham; której jedno spojrzenie, jedno ściśnienie ręki, przykuwa mnie jak potępieńca do miejsca zebrań i zabaw tych ludzi, których sam widok jest mi nieznośnym.

— Więc ty kochasz tę lekkomyślną, zalotną dziewczynę?

— O nie mów tak o niej Karolu ! Ona jest prawdziwym aniołem, choć jest córką takiej matki, i kocha mnie również oddawna. Sama mi to wyznała i przysięgła mi niezmienną miłość do zgonu.

— Biedny Dawidzie ! Czyś się nie zastanowił, że gdyby nawet tak było, to ona jednakże nie może być twoją, bo matka jej nigdy na to nie zezwoli? że masz jeszcze długie lata pracy nad sobą, do której cały należeć miałeś? i że nadużywasz położonego w tobie zaufania, kochając się w młodej dziewczynie, której jesteś nauczycielem?

— Mówię to sobie co chwilę, ale gdybyś widział, jak ona zbladła przy pierwszem zaraz słowie, wyrzeczonem niedawno o potrzebie rozstania się; jakiem spojrzeniem boleści i niemego wyrzutu skruszyła moje postanowienie, które sobie ledwo wywalczyć potrafiłem podczas długich nocy bezsennych; pojąłbyś może, jak ta miłość, w tak krótkim już czasie, stargać mogła siły mego ducha i zagasić święty płomień, który wśród sieroctwa i opuszczenia nie przestawał ogrzewać mego serca.

— Za mało jeszcze mam doświadczenia, abym ci wskazać mógł drogę do wydobycia się z tych

nieszczęśliwych więzów, ale czuję, że one ci grożą pochłonięciem twego spokoju i drżę na samą myśl przyszłości, czekającej cię na drodze tej zgubnej namiętności.

W tej chwili wesołe grono bawiących się, a z niemi i Reginka, przystąpili do naszych młodzieńców, chcąc ich wciągnąć do gry w fanty, która się właśnie zaczynała. Ale widok ich zbladłych twarzy i łzy, której Dawid nie mógł ukryć, zdziwiły Reginkę; stojąc obok brata, szepnęła mu na ucho:

— Jaki on smutny, Karolu ! Gdzież się podziało jego dawniejsze szczęście?

— On jest bardzo nieszczęśliwym — odpowiedział jej Karol — i kto wie, czy nim nie zostanie na zawsze !

XXIII.

Konferencja i jej skutki.

Któż to nie zna tych wszechwładnych pośredniczek, bez których pomocy żadne prawie nie skojarzyło się małżeństwo?

Któreż to młode serduszko nie zakołatało na widok tych zastępczyń przeznaczenia, dzierżących w swem potężnem ręku moc połączenia rąk i kieszeni na wieki? Niejeden z młodzieży, który nie odkrywał dumnej głowy przed powagą wieku i nauki, kornie jednak schylał czoło przed temi paniami, gdy one mu szepnęły do ucha o bogatym posagu jakiejś panny, zdolnym załatać

dziury w jego nadwerężonych interessach. Niejedno białe czoło oblekało się purpurą w nadziei brylantów i powozów, któremi wspaniałomyślne te kobiety rozporządzając do woli, nigdy jednak nic dla siebie nie zatrzymały.

Nieprawdaż, żeście ciekawi przybliżyć się do jednej z tych znakomitych osób? Otóż, proszę za sobą do salonu pani Halbkorn, gdzie pani Ewa zajęta jest ważną konferencją z właścicielką tegoż salonu.

— Pan Władysław wymaga co najmniej— sześć tysięcy rubli posagu — mówi pani Ewa.

— Zdaje się, że pan Władysław, który niedawno dopiero tak brzydkie miał sprawki, teraz powinien być zadowolonym z pięciu tysięcy, na które i ja się zgadzam — odpowiada jej pani Halbkorn.

— O jakich to sprawkach pani chcesz mówić? czy to nie o długach spłaconych przez rodziców? Któż to teraz uważa na takie drobnostki u młodego człowieka porządnie wychowanego?

Niech się pani tem nie obraża, ale gorsze rzeczy mówią o pannie Leontynie, a o pannie rzecz drażliwsza jak o chłopcu.

— O mojej córce? Jakżeż pani śmiesz powiedzieć mi to w oczy? wykrzyknęła pani Halbkorn.

— Tylko się nie gniewaj, moja droga pani. Kto tak jak pani ma ładną córkę i w domu ładnego chłopca za nauczyciela, ten powinien być przygotowanym na ludzkie języki.

— O Rothmana? o tego uczonego mazgaja? wszakci on i trzech nie potrafi zliczyć.

— Czy pani nie znasz przysłowia o cichych wodach? Tacy właśnie są najniebezpieczniejsi.

— Ot pleciesz pani Ewo. Ktoż tu może w tem widzieć co złego?

— Ba, są przecież i tacy co widzą. Otóż sama pani Prosnitz, matka pana Władysława, powiedziała mi, że wie to od swej Cesi, jakoby młodzi bardzo się kochali, a panna Leontyna nawet jej mówiła o postanowieniu uciekania kiedyś z domu z tym hołyszem. A choć ja ani słowa z tego wszystkiego nie wierzę, pojmujesz jednak kochana pani, że taka gadanina nie dodaje wartości młodej panience.

Na te słowa pani Halbkorn aż się zatrzęsła, ale hamując swoje uniesienie, odpowiedziała tylko:

— To jest podstęp ze strony pani P., aby wydostać odemnie jeszcze tysiąc rubli dla pana Władysława. Ale ja ani grosza nie dam więcej, bo gdyby to nawet było prawdą, czemu zresztą zaprzeczam, to jeszcze nie widzę do tego przyczyny. Któraż to panna nie kochała się w swoim nauczycielu, jeśli ten był młodym i ładnym, póki jej się nie nawinęło coś lepszego? A jednak wszystkie wychodzą za mąż dobrze i przyzwoicie.

— To też i córce pani przyzwoitego stręczę kawalera. Tylko w tem sęk, że panna Leontyna podobno przysięgła temu Rothmanowi, że nigdy nie pójdzie za drugiego.

— Nie powtarzałabyś pani lepiej takich niedorzeczności. Gdyby nawet chłopak wpadł w oko Leosi, zwyczajnie jak młodemu dziecku, toć ona przecież dziewczyna nie głupia, aby miała na serjo pomyśleć o nim, gdy jej się trafia kawaler

taki jak p. Władysław. — Zresztą spuść się pani w tem na mnie. Do pani należy tylko przyprowadzenie do skutku majątkowych układów.—Powiadam więc jeszcze raz, że więcej nie dam jak pięć tysięcy rubli, i tę stanowczą odpowiedź możesz zakommunikować panu Władysławowi i jego matce.

— Dobrze, idę do nich, ale nie moja będzie wina, jeśli przez skąpstwo pani cała rzecz się rozchwieje i pan Władysław oświadczy się Polci Keisler, którą mu stręczą także i która jest wprawdzie mniej ładną jak panna Leontyna, ale za to może się spodziewać bogatego spadku po starym już ojcu.

Mówiąc to, pani Ewa podniosła się i ściskając rękę gospodyni oddaliła się z salonu.

Drzwi ledwo się zamknęły za panią Ewą, gdy pani Halbkorn, która dotąd gwałtem powstrzymywała wybuch swego gniewu, podskoczyła z siedzenia i, stuknąwszy mocno ręką o stół, zawołała:

Tak to rzeczy stoją! Tak to sobie panna poradziła. Ale ten Rothman! Gdzie ja też tylko oczy miałam? Takie to zdawało się ciche i potulne. Prawda, że od samego początku nigdy, nigdy dla mnie nie był grzecznym, nawet mnie w rękę nie pocałował i nie chciał grać wieczorem dla gości, choć go o to proszono; ale ja to przypisywałam zawsze jego nieśmiałości, zwyczajnie ot sobie prowincjonalista. A tymczasem, ona chce uciekać z tym paniczem! Ale nie będzie nic z tego.

Tegoż wieczoru Dawid, wchodząc jak zwykle

do jadalni na herbatę, nie zastał w niej Leosi i gdy obejrzał się po pokoju zdziwiony, pani Halbkorn rzekła do niego z gniewem:

— Czegoż tu tak szukasz oczami mości nauczycielu? Mało ci nas, widać, potrzeba ci jeszcze i ładnej panny, którejbyś mógł głowę zawracać.

— Pani ... wyjąknął napadnięty tak niespodzianie Dawid.

— Więc tego to się panicz nauczył między filozofami w tych tak zachwalonych domach Dalbergów i Lanzerów, które Kubciowi memu zawsze za wzór stawiałeś? Brać na się minkę skromnisia, aby nas podejść i namówić pannę, aby uciekała z rodzicielskiego domu? Ponieważ przybyłeś, nie wiedzieć zkąd i tuś urósł w pierze i stał się za moje pieniądze warszawskim elegantem, myślałeś, że ci się uda zbałamucić córkę z bogatego domu? Ale grubo się omyliłeś, jeszcze ja żyję i mam dobre oczy!

Dawid, który podczas tej tyrady stał jak winowajca, podniósł nareszcie głowę i, spojrzawszy z godnością na pieniącą się od złości panią Halbkorn, odpowiedział:

— Pani może słusznie jesteś obrażona, żem śmiał zbliżyć się do jej córki, a jednak nie zasłużyłem na żadną z tych obelg, któremi mnie obsypujesz. Przyznaję, że od pierwszej zaraz chwili pokochałem córkę pani wszelkiemi siłami mej duszy, ale biorę Boga na świadka, że nigdybym się nie odważył zakłócić spokojność tego anioła wyznaniem mej miłości, gdyby ona pierwsza jej nie odgadnęła.

— Śmiesz więc jeszcze twierdzić, że moja córka sama ci się narzuciła?

— Nie powiedziałem tego. Zanadto szanuję i czczę pannę Leontynę, zanadto wdzięczny jej jestem za każde słowo dobroci dla mnie biednego nauczyciela, które się nigdy nie zatrze w mojem sercu.

— A więc z wdzięczności to dla niej podły uwodzicielu chciałeś ją nakłonić do opuszczenia rodzicielskiego domu i połączenia się tajemnym ślubem z takim włóczęgą jak ty jesteś?

— Nigdy nie miałem tego niegodziwego zamiaru, niech się pani zapyta samej panny Leontyny, czy kiedykolwiek z ust moich wyszło coś podobnego.

— Tylko do czego myślałeś, że cię to doprowadzi?

— Dotąd nie zastanowiłem się jeszcze nad tem, bo dla mnie dosyć było szczęścia być pod jednym z nią dachem, spojrzeć czasem w jej twarz ubóstwianą i usłyszeć luby jej głos.

— Tak tak, wierzcie jemu! Ale teraz jest jeszcze dzięki Bogu sposobność do zapobieżenia złemu.—Od jutra żebyś mi się tu więcej nie znajdował. Oto jest pensja twoja za ostatni miesiąc, a jutro zabierzesz swoje manatki i ruszysz sobie, zkąd przyszedłeś.

— Pieniędzy pani nie potrzebuję i dziś jeszcze pójdę—w tej chwili nawet, zabierając sobie z tego domu to tylko, czego mi ani ty pani, ani nikt na świecie odebrać nie potrafi to jest wiarę w anielskie serce panny Leontyny.

— Będziesz miał wkrótce tego dowody—

krzyknęła jeszcze pani Halbkorn za odchodzącym młodzieńcem.

XXIV.

Spotkanie i Anioł stróż.

Była już dziesiąta wieczorem, gdy Dawid zajechał ze swym tłomoczkiem przed dom państwa Lanzer i, zostawiwszy tłomoczek w przedpokoju, wszedł do salonu, gdzie cała rodzina siedziała jeszcze razem.

Przy niespodzianem wejściu jego o tak późnej godzinie wszyscy wstali, a Reginka nie mogła powstrzymać lekkiego okrzyku zadziwienia.— Ale pytanie zamarło na jej ustach, na widok strasznie zmienionych rysów twarzy młodzieńca.

— Cóż ci się stało? wymówił nareszcie pierwszy Karol.

— Stało się tylko to, coby się nigdy stać nie mogło, gdybym był usłuchał twojej rady. Zostałem haniebnie wypędzonym z domu przez tę kobietę bez serca i przychodzę teraz prosić od twej przyjaźni przytułku na jednę noc, gdyż jutro rano przeniosę się do hotelu.

Pani Lanzer z taktem właściwym kobiecie odgadnęła, iż najlepiej było nie wypytywać się teraz o szczegóły poniżającego wypadku, który tak dalece wzruszył młodzieńca; biorąc go więc za rękę, powiedziała:

— Jesteś pan na teraz naszym gościem. Nie widzę w tem nic tak niepokojącego. Siadaj pan tylko na kanapie i napij się gorącej herbaty, bo

drżysz jak w febrze, a potem pójdziesz z Karolem do jego pokoju, gdzie zaraz poszlę służącą z pościelą, by ci tam przygotowała drugie łóżko.

Wkrótce Karol zaprowadził przyjaciela do swego pokoju i usiadłszy obok niego starał się go pocieszać przedstawieniem różnych planów na przyszłość. Ale Dawid czuł się złamanym na duszy dzisiejszą sceną, a więcej jeszcze myślą o cierpieniach i walkach drogiej dziewicy, wystawionej sama jedna na nieubłagany gniew matki, i którą opuścić musiał na zawsze, nie pożegnawszy się z nią i nie dowiedziawszy się z jej ust, czy ona przynajmniej nie przestawała wierzyć w czystość jego uczucia.

Karol, widząc, że słowa jego niewiele pomogły do uspokojenia przyjaciela, zaniechał rozmowy i namówił go, aby się udał na spoczynek, którego tak bardzo potrzebował.

Spędziwszy noc tę bezsennie, Dawid chciał zaraz z rana pójść do którego z mniejszych zajazdów na mieszkanie, ale pani Lanzer opierała się temu, gdyż, jak mówiła, mógł tymczasem wygodnie mieszkać z Karolem i ona by mu nigdy nie przebaczyła nieprzyjęcia u nich gościnności, aż cóś postanowi względem przyszłego życia swego, zwłaszcza, że w tym tygodniu zaczynają się już święta wielkanocne.

Dawid nie przyjąłby może tej ofiary, ale czuł się nadzwyczaj osłabionym i doznawał wielkiego bólu głowy i zimna w kościach, spowodowanego zaziębieniem, gdy wczoraj rozgrzany wyszedł w nocy z domu p. Halbkorn. Został się więc u państwa Lanzer, ale tęsknota i niepewność o

Leosi, o której niepodobno mu było wywiadywać się, pozbawiały go snu i apetytu i młodzieniec mimo czułych starań państwa L., w przeciągu tego tygodnia nikł widocznie.

Po miesiącu ciągłych deszczów i niepogody, słońce nareszcie poraz pierwszy zajaśniało wiosennym blaskiem w pierwszy dzień wolnych świąt wielkanocnych (chol hamoed) i Karol, spodziewając się korzystnego wpływu świeżego powietrza na zdrowie swego przyjaciela, pojechał z nim do Alei, najętą w tym celu dorożką. W alejach w tym dniu mnóstwo snuło się pojazdów i pieszych przechodniów, którzy chcieli korzystać z pogody i usłyszeć pierwszy śpiew słowika, a przed wejściem do botanicznego ogrodu, gdzie nasi młodzieńcy wysiedli, stało także kilka dorożek.

Przechadzając się po tym pięknym ogrodzie, który już zaczynał okrywać się zielonością, Karol, znający się trochę na botanice, właśnie starał się zwrócić uwagę przyjaciela na napisy pod drzewami, gdy na zakręcie alei tuż obok nich zaszeleściły ciężkie suknie i Dawid ujrzał przed sobą pannę Leontynę Halbkorn, jaśniejącą szczęściem, przepyszną tualetą i czule opartą na ramieniu Władysława Prosnitz, a za niemi obie matki z Cesią.

Dawid zbladł okropnie, a jednak zdjął kapelusz i ukłonił się pannie Leontynie. Wtedy ta spojrzała na niego i zaczerwieniła się, ale wnet odwróciła głowę, jakby z niechęcią i pogardą, i przyspieszyła kroku. Leosia dawno już zniknęła, gdy Dawid jeszcze stał jak wryty na miejscu, gdzie ją zobaczył, aż Karol, wziąwszy go pod rę-

kę, odciągnął nieprzytomnego od fatalnej alei i wsadził do czekającej na nich dorożki.

— Czy ją widziałeś? zapytał się nareszcie Dawid, jakby ockniony przez ruch pojazdu.

— Widziałem, mój biedny Dawidzie, i nie było to dla mnie nic nowego, bo wczoraj jeszcze słyszałem w domu jednego z moich kolegów, że Leosia zaręczyła się z panem Prosnitz; ale spodziewam się, iż się prędko pocieszysz po stracie tej dziewczyny, która, jak ci to już dawno powiedziałem, znaną jest powszechnie ze swej lekkomyślności i nigdy nie warta była twego przywiązania.

Dawid jednak przez całą drogę nie potwierdził tej nadziei Karola, odpowiadając mu jedynie głębokiem westchnieniem, świadczącem o wielkiej boleści moralnej czy fizycznej.

Mocno wstrząśnięte siły duszy i ciała młodzieńca nie mogły się już oprzeć temu ciosowi, który niszczył odrazu ostatnią jego nadzieję, ostatnią jego wiarę w przyszłość. Dzikie fantasmagorje gorączki obległy mózg jego osłabiony i strwożeni przyjaciele na drugi dzień już nie mogli przed sobą ukrywać, że Dawid był niebezpiecznie chorym.

Czem są największe bogactwa, czem tytuły i dostojeństwa, te wszystkie korzyści, które niegdyś człowieka wywyższały nad innych, w dniach nieszczęścia, gdy bezbronny oddany jest na pastwę chorobie?

Tylko serca przywiązane i litościwe mogą przy pomocy Boga stanąć zwycięzko u wezgłowia chorego i jak anioł stróż jego odegnać dręczące

widziadła z rozpalonej głowy. Otóż, mądrem zrządzeniem Opatrzności, ubogi sierota sam jeden wśród wielkiego i obcego miasta bez środków i opieki, wprowadzony został w dom szlachetnej kobiety, która się nim zajęła z macierzyńską troskliwością. Dniem i nocą pani Lanzer i jej dzieci czuwały naprzemian przy łożu Dawida, który nieprzytomny nikogo z nich nie poznawał. Ale piętnastego dnia choroby, gdy niebezpieczeństwo doszło już do najwyższego stopnia, pan Lanzer za namową żony i po naradzie z Braunthalem, który dowiedziawszy się o chorobie Dawida codzień go odwiedzał — posłał sztafetę do Doktora Heller w S.... z doniesieniem o stanie jego wychowanka.

Tej samej jednak nocy nastąpiło dobroczynne przesilenie. O drugiej godzinie po północy, gdy wszyscy wyczerpani długą bezsennością już usypiali, jedna tylko Reginka siedziała jeszcze w pokoju Dawida i gdy wybiła godzina, w której mu podawać miano lekarstwo, ona sama przystąpiła z flaszeczką do łóżka.

Poraz pierwszy to skromna dziewica stała tak blizko łoża chorego i patrzała w wybladłą twarz jego, na której znać było jeszcze plamy z niedawno puszczonej krwi. Nieopisany smutek ogarnął serce Reginki na widok śladów zniszczenia, jakie zabójcza choroba wypiętnowała na tych niegdyś tak pięknych rysach. Gdzie się teraz podział ogień jego czarnych oczu? melancholijny ale tak wdzięczny uśmiech zdobiący jego lice? Miałżeż umierać w kwiecie wieku? miałyż być straconemi na zawsze te wszystkie skarby rozu-

mu i talentu, które Pan Bóg złożył w tej pięknej duszy i które ona tyle razy podziwiała? Miałżeż być wyrwanym miłości jej rodziny, która—jak to czuła po sobie—musiała go kochać tak serdecznie, iż trudnoby jej było zgon jego przeżyć?

Łza paląca zakręciła się w oku dziewicy schylonej nad łóżkiem i spadła na czoło chorego. Młodzieniec zrobił poruszenie i otworzył oczy, ale wnet je zamknął, mówiąc osłabionym głosem:

— Tak to ty Leosiu....

Reginka korzystała z tego poruszenia i wlała mu lekarstwo do otwartych ust.

Chory wypił je chciwie i otworzywszy już zupełnie oczy rzekł:

— Wiedziałem, że przyjdziesz do mnie Leosiu, bo ty mnie zawsze kochasz.

Poczem odwrócił się na drugą stronę i wkrótce Reginka usłyszała regularny oddech jego piersi i ujrzała duże krople zbawiennego potu, zaczynające występować na twarzy jego i czole.

XXV.

Odrodzenie.

Anioł stróż zwyciężył. Przytomność wróconą została Dawidowi, ale z nią i pewność utraty, nietylko przedmiotu gorącej swej miłości, ale i tego boskiego zaufania w uczucie i serce ludzkie, stanowiącego dotąd drugą i niemniej świętą religję młodzieńca. Przyszłość wydawała mu się

tak chaotyczną i niepewną bez tej podpory, która się teraz zachwiała w osłabionych jego rękach, iż z początku żałował śmierci, którąby go uwolniła od niepojętej dlań gmatwaniny życia.

Przybycie ukochanego opiekuna doktora Heller i radość jego z polepszonego stanu zdrowia wychowanka — którego obawiał się zastać na śmiertelnem łożu — odwróciły jednak wkrótce te czarne myśli i więcej może jeszcze jak mixtury Braunthala pomogły do prędkiego wyzdrowienia Dawida.

Panowie Heller i Lanzer ledwie dzień jeden z sobą przepędzili, a już wzajemnie poznali, że obaj zarówno należą do wielkiego stowarzyszenia ludzi wyższych, i piękne to były godziny dla Dawida, gdy naokoło fotelu, w którym spoczywał, wsparty jeszcze poduszkami, usiadła wieczorem cała familja Lanzer i doktor Heller, a on z wymiany myśli tych dwóch mężów, widział powstający świat nowy, nie ten poziomy i chłodny samolubów, który tak dotkliwie go zranił, ale świat drugi, lepszy i szlachetniejszy, którego pierwszy, odrazu wydawał mu się tylko parodją. Zrozumiał nakoniec,—patrząc z ich stanowiska— że w każdym kraju, wśród każdego społeczeństwa, znajdują się natury pospolite i egoistyczne, zamknięte w skorupie ciasnych swych widoków; natury, stanowiące niejako pierwsze szczeble na tej drabinie ludzkości, ktorej szczyt mimo tego sięga obszarów niebieskich. Że zamiast uskarżać, raczej litować się potrzeba nad ludźmi, którzy— czy to przez wrodzoną nieudolność, czy też przez brak wychowania i przykładu — nie mogą brać

udziału w szczęściu, wynikającem z czystego uczucia, ze światłej miłości dla Stwórcy i braci swoich, z obejmowania sercem i rozumem nieprzeliczonych zasobów stworzenia, również wielkich w żywej duszy człowieka, jak w tysiącznych ogniwach nieożywionej natury.

Doktor Braunthal, cieszący się także niemało z przybycia kolegi szkolnego, przyłączał się nieraz do rozmowy dwóch filozofów—jak ich nazywał—i wesołemi żartami utrzymującemi rozmowę na powierzchni usiłował rozmarszczać surowe ich oblicza.· Ale nie zawsze to mu się udawało.

— Jak mi Bóg miły—rzekł raz Braunthal—że nie masz nic niezdrowszego jak ta wszystka wasza filozofja, która tylko zużywa człowieka i psuje mu jego krótkie życie.

— Mylisz się, mój kochany—odpowiedział na to Heller — biorąc nasze proste zasady za jakąś tam filozofję Djogenesa w beczce. One są przeciwnie nauką życia, bo zamiast pogardzać darami Boga, staramy się używać je w całej rozciągłości. Pracując nietylko nad sumiennem wywiązaniem się z obowiązków powołania, ale i nad rozwinięciem w sobie i w bliźnich swoich wszystkich sił duszy, nie żałujemy nigdy dni upłynionych, bo czujemy, że każdy z nich przybliżył nas o krok jeden do wielkiego celu wspólnej naszej wędrówki, do doskonałości na ziemi. A tak przy tem nieznanem lub pogardzonem przez innych źródle pożytecznej działalności — na dnie którego żadne nie zostają męty — nigdy się nie starzejem.

Na dowód masz oto pana Lanzer, który już lat

ma sześćdziesiąt i kilka, żyje na tym świecie, a taki jeszcze rzeżki, taki młody,—w tem co stanowi zaletę młodości: w cieple uczucia i współudziale dla drugich.

A możnaż go porównywać do tych skostniałych starców spotykanych w salonach, którzy z zawiścią patrzą na nowe pokolenie, bo dla niego teraz otwartą jest ta droga do uciech, którą za nimi samymi starość już na zawsze zamknęła?

Nie same jednak tylko nauki starszych skracały Dawidowi długi czas musowej bezczynności. Starania koło niego Karola, a więcej jeszcze Reginki Lanzer — która często zastępować musiała zajętą gospodarstwem matkę—obalały do reszty sztywne towarzyskie obejście i utworzyły teraz niejako węzeł rodzinny, między konwalescentem a młodemi jego dozorcami. Dawid szczerze kochał Karola, ale od najpierwszego dzieciństwa tak gorąco sobie życzył siostry, którą mu los odmówił, iż z większą może jeszcze przyjemnością wejrzał w dziewiczą duszę Reginki, gdzie wszelkie cnoty rozwinięte staranną ręką rodziców wschodziły właśnie owym bujnym kłosem, który więcej jeszcze nas cieszy nadzieją ukrytego w nim ziarna, jak obecną swoją zielonością. Jeśli Reginka w tej chwili kochała tylko dobre,bo w niem widziała i piękno, którego poczucie wrodzonem było jej poetycznej duszy; unikała złego, ponieważ ono byłoby w niej disharmonją—to jednak łatwo było przewidzieć, że lata i doświadczenie znajdą ją przygotowaną do zamienienia tego nieświadomego pociągu, na pewną i niezachwianą normę, zdolną stawić czoło namiętnościom i ciężkim próbom życia.

Młodzieniec nie mógł się dosyć nasłuchać jej naiwnie miłych zwierzeń z wspomnień szczęśliwego dzieciństwa i również pięknej gry, wskrzeszającej w nim dawny zapał do sztuki. A choć miłość dla Leosi nie przestawała zajmować jego serca, to jednak choroba złagodziła wspomnienie ostatnich bolesnych wypadków i Dawid czuł jak wraz ze zdrowiem, które powoli wstępowało do osłabionego ciała, z krwią, która znowu zakrążyła w jego żyłach, i dusza jego odradzała się, podobnie jak te drzewa saskiego ogrodu, które mógł teraz widzieć z okna swego pokoju.

Podczas choroby Dawida pan Dalberg często się o niego wywiadywał u państwa Lanzer i po minionem niebezpieczeństwie, doktor Heller czuł się w obowiązku osobistego podziękowania nauczycielowi muzyki za względy jego dla swego wychowanka.

Pan Dalberg bardzo się ucieszył, słysząc od doktora, iż Dawid wkrótce powróci do zupełnego zdrowia, gdyż młodzieniec zjednał sobie jego przywiązanie. Dowiedziawszy się o wypadkach, które w domu pani Halbkorn poprzedziły chorobę Dawida, rzekł:

— Można się było tego spodziewać. Zawód domowego nauczyciela dla Dawida nie był wcale stosownym, ale spodziewam się, że po tej nieszczęsnej próbie będzie miał dosyć na teraz.

— Właśnie chciałem się poradzić pana, coby też dalej z nim począć?

— Najlepiej wysłać go zaraz do Berlina, dokąd ja mu mogę dać rekomendację do znajomego mi professora kontrapunktu. Tam sobie łatwo

wybije z głowy niewczesne miłostki i odzyska na nowo energję do pracy. U nas zresztą ani uczący się ani wyuczony artysta nie mają dla siebie stanowiska. Pierwszemu brak odpowiedniego kółka, któreby przykładem i zachętą korzystnie wpłynęło na jego rozwinięcie, a drugiemu brak ważniejszych jeszcze rzeczy, bo uznania i chleba.

— A koszta utrzymania i nauki w Berlinie?

— I na to znajdzie się rada. Mamy jeszcze dzięki Bogu bogatych i światłych ludzi, którzy się opiekują młodemi talentami swych rodaków. Nawet jeden z nich bankier P... niedawno spotkał Dawida u Lanzerów i podług tego, co mnie o nim powiedział, to i on i jego znajomi na moje przedstawienie nie odmówią młodemu chłopcu swej pomocy.

— Zasłużyłbyś pan sobie na dozgonną wdzięczność nietylko Dawida, ale moją i żony mojej, gdybyś się chciał zająć uskutecznieniem tej myśli. Ale czyż pan sądzisz, że talent Dawida jest w istocie tak wielkim, iż zasługuje na poparcie ze strony wspaniałomyślnych ale zupełnie obcych mu ludzi?

— Przyznam ci się panie doktorze, iż w gruncie powątpiewam, aby Dawid, który zajmuje się dopiero muzyką od piętnastego roku swego,—nawet przy swoim niezwykłym, ba zdumiewającym talencie, — samą tylko grą swoją kiedykolwiek wystąpić mógł do współzawodu z dzisiejszymi europejskiemi wirtuozami, którzy z Lisztem na czele część techniczną gry do najwyższej doprowadzili doskonałości. Ale kto jak ja poznał bogactwo i głębokość myśli w cudownych jego

fantazjach na fortepianie, ten wierzyć musi, że w Dawidzie żyje wrodzona zdolność do kompozycji, która pod kierunkiem biegłych Professorów zapewnić mu może z czasem przyszłość i sławę.

Pan Dalberg dotrzymał słowa. Jak tylko Dawid zaczął wychodzić, zaprowadził go wraz z doktorem do kilku bogatych bankierów, którzy przyrzekli go wspierać, i po krótkim już czasie udało się jego staraniom otrzymać dla naszego artysty trzysta talarów rocznej pensji. Doktor też ze swej strony nietylko dał na koszta podróży, ale przyrzekał dołożyć mu jeszcze sto talarów, jeśliby pensja ta okazała się niewystarczającą.

U państwa Lanzer wiadomość o tym szczęśliwym wypadku sprawiła ogólną radość. Reginka tylko uczuła boleśnie, iż ten zwrót w życiu Dawida, oddzielający go może na zawsze od nich, oddzielał go też od kochającego serca. Dawid też zbyt już poznał odwrotną stronę świata i ludzi, aby mimo uśmiechającej się doń przyszłości nie miał serdecznie żałować nowych swoich przyjaciół i miłej siostry, których przychylność wybawiła go od śmierci i gorszej od niej rozpaczy i zwątpienia. Ale on wiedział już teraz, że człowiek powinien z pogodnem okiem i wzniesioną głową dążyć do przeznaczonego celu, choć noga jego czasem zdepcze róże rosnące po drodze, do których tak chętnieby się schylił dla napawania się aromatyczną ich wonią, z taką radością by sobie uplótł z nich wieniec, dla ozdobienia nim uznojonego czoła.

XXVI.

Listy Dawida.

Do doktora Heller.

Berlin . . . . . .

Wyście płakali, gdym odjechał—i ty mój dobroczyńco i Warszawscy nasi przyjaciele. Wam żal było obcego przybysza, który przeto tylko wstąpił w wasze progi, aby od was, tak bogatych sercem, wyżebrzeć okruszyny łaski, abyście ogrzali zlodowaciałego od ostrego chłodu i zawieruch świata.

A cóż się zostało dla mnie, gdym widział znikające na perronie drogie wasze postacie? dla ego, który w waszej niczem niezasłużonej dla iebie dobroci, znalazł odblask wiecznej dobroci Stwórcy, a przeto i rozwiązanie ciemnego problematu istnienia? Miałżem płakać także?

O! płakałem gorącemi łzami, bo wiedziałem, żem stanął na rozdrożu, na którem usłyszę już tylko głos powinności, ale nigdy takiej miłości, jak wasza, która mi przypominała, żeśmy synami Nieba, choć podlegamy prawom śmiertelnego ciała, ciążącego nas ku ziemi, z którą się ma złączyć. Ale niedługo potem już wstydziłem się tych łez. Miałżem być jak nierozsądne dziecko, które się z płaczem domaga zatrzymania tarczy słońca, znikającej przed jego oczami? Czyż nie dosyć mi Pan Bóg dozwolił skosztować szczęścia, osłaniając mnie biednemu sierocie, w Was, do-

brończyńcy moi, wspaniały majestat ludzkości? Wieluż to ludzi żyje i umiera, nie domyślając się bynajmniej bytności jego na świecie? A ja, miałbym płakać dla tego, że cnoty te oddaliły się odemnie, dla przyświecania innym? Czyż przezto pamięć ich wyjdzie kiedy z mojego serca?

Nie! sto razy nie! Byłbym niegodnym Was, gdybym nie starał się wznieść nad tę boleść samolubną i tęsknotą za Wami, jako za moim ideałem, nie sprobował wylewać w czynach życia zamiast w łzach dziecinnych. Czy potrafię? Bóg jeden to tylko wie!

Przyjechałem onegdaj do Berlina, a wczoraj przedstawiłem się już Professorowi Wiez, w którym z początku znalazłem jednę z tych sztywnych figur niemieckich, jakiemi je sobie zawsze u nas przedstawiają, ale powróciwszy dziś do niego, zatrzymany tam przez całą godzinę, przekonałem się, że zimna ta powłoka okrywa człowieka z sercem i gotowego do ulżenia drugim.

Zachęcił on mnie do dalszej pracy i przyrzekł swą protekcją, zapewniając, że mam wielką przed sobą przyszłość. Są to własne jego słowa, które oby się spełniły, obym mógł stanąć kiedyś przed Wami z tą myślą, że przynajmniej przez moją wytrwałość na raz obranej drodze i nieograniczoną wdzięczność, niezupełnie niegodnym byłem Waszych dobrodziejstw.

Jutro myślę już wyjść za wyszukaniem sobie pensjonatu dla młodych ludzi naszego wyznania, gdziebym mógł żyć stosownie do moich środków i chciałbym go znaleść jak najprędzej,aby niezwłocznie zabrać się do pracy. Wyrzucam sobie bowiem

każdy dzień stracony, w którym nietylko pożywam bezużytecznie chleb moich dobroczyńców, ale i wydaję część z summy mego własnego życia, przeznaczonego dla nauki, z której i tak już pierwsze moje lata i wiele chwil późniejszych zmarniało bezpowrotnie. . . . .

Do Doktorstwa Heller w S.....

Berlin . . . .

Dzięki Wam za serdeczne słowo, za to, żeście w swem sercu odczuli, iż myśl o Was jest dla mnie tym oddalonym promykiem wśród ciemności, kierującym memi krokami i dodającym mi otuchy do dalszej wędrówki. Przestrzegacie mnie, bym nie brał klamliwych błyskotek za prawdę, bym się nie dał olśnić — powierzchownie tylko może — większym zaletom tutejszego towarzystwa i przezto nie lekceważył tego, co widziałem we własnym kraju. Nie byłżem Waszym uczniem? Nie byliścież przewodnikami moich młodych myśli, ucząc je rozróżnić treść od formy, istotę rzeczy od jej pozoru? Mogęż zresztą zapomnąć kiedykolwiek, żem we własnym kraju poznał ludzi, przewyższających wielkością duszy tych wszystkich, którzy mi się tutaj zkądinąd wydawać mogą wielkimi?—W tym właśnie czasie, kiedyście Wy mnie uchronić chcieli od widzenia tu wszystkiego w zbyt różowem świetle i koniecznie wynikającego ztąd rozczarowania, moje życie berlińskie także się przyczyniło do utwierdzenia

mnie w tej prawdzie, ' że gdzie jest światło, tam są i cienie, choć nie wszędzie jednakowo z sobą zestawione; że i tutaj, mimo wysokiego w ogóle stopnia wykształcenia, znajdują się jednak tak samo jak u nas ludzie, którzy w poważnej szacie arcykapłanów sztuki widzą pstry płaszcz harlekina bezmyślnej mody, dobry jedynie do zabawienia nim głupiego tłumu. Zapoznawszy się tu z kilkoma kolegami, przez nich wprowadzony zostałem do znajomych im domów i tuż obok wielkich talentów, obok skromnej prawdziwej zasługi i poważnej pracy, znalazłem także bogaczów, którzy zapraszają do siebie artystów i literatów, ponieważ tutaj należy to do dobrego tonu widzieć ich w swoim salonie, tak jak się kupuje jaskrawych obrazów olejnych ogromnych rozmiarów do zawieszenia nad kanapą, i bibliotekę w czerwonej safianowej oprawie, której się nigdy nie czyta. Poznałem także krochmalnych i ograniczonych biurokratów, którym Göthe był tylko radcą tajnym księcia Wejmarskiego i którzy z wysokości swego dostojeństwa, z pogardą spoglądają na resztę nieutytułowanych śmiertelników.

Ale za to w mojej właściwej sferze, wiele znów znalazłem pięknego. Przed miesiącem spotkałem się u Proffessora Wiez z dyrektorem prywatnego Gesang-vereinu (stowarzyszenia śpiewaków) panem Z., który był tak grzecznym iż ofiarował mi bilet wejścia na próby, odbywające się u niego raz w tygodniu. Wieczorem oznaczonego dnia udałem się więc do wskazanego mi lokalu, gdzie przedstawił mi się zachwycający wi-

dok. Paręset młodych osób, obojga płci,—między którémi, jak mi dyrektor potem mówił, z najznakomitszych domów—stało rzędem na estradach i śpiewało cudowną kompozycję Roberta Schuman „Raj i Peri“ pod dyrekcją pana Z. O takiem zebraniu sił, o takiem ogólnem dążeniu do wydoskonalenia się, które młodą hrabiankę stawia obok zwyczajnej mieszczki, a czasem i niżej—jeśli ta więcej ma talentu—nie mają jeszcze u nas wyobrażenia i łatwo sobie wystawić, jak to oddziaływa na wyższe pojmowanie sztuki.

W tym znowu tygodniu byłem na koncercie Hansa von Büllow, najcelniejszego z uczniów Liszta. Siedząc obok professora Wiez, ujrzałem go wkrótce otoczonego całym zastępem szlachetnych figur, których znakomite imiona oddawna już obiły się o moje uszy, ale którzy gienjuszem tak dalece nas przewyższają, iż dotąd z trudnością mogłem pojąć, aby byli podobnymi postawą i mową do innych ludzi. Byli tu znani artyści i kompozytorowie, między którymi stary ich mistrz Meyerbeer; redaktorowie i literaci jak Adolf Staar, Lewald, Bernstein, Gutzkow i inni; proffessorowie uniwersytetu i t. d. I cała ta plejada sławnych ludzi stała koło mnie i nie jeden z nich w pauzach koncertu zwracał mowę do mojej osoby. A koncert? Cóż o nim powiem? Gdybym żył sto lat, nie zapomnę tego wieczora. Jakżeż czułem się maluczkim w obec tych gigantów sztuki! Jakżeż drżałem na samą myśl, iż ja, drobny pygmejczyk, śmiem pnąć się po wyżynach, gdzie oni panują. A jednak uczułem także w tej chwili, że droga do nich niezupełnie

jest dla mnie zamkniętą, że widok takich wielkości rozdmuchywa w mojem sercu spoczywającą pod popiołem iskrę, że wydobywa zeń jakąś nieznaną mi dotąd siłę. Byłże to ogień własnego mego ducha, który mi się objawiał, lub tylko ów migający promień wywołany długiem wpatrywaniem się w obce światło? Otóż co czas pokaże!

Do Professora Lubicza w S.....

Berlin......

Czcigodny Panie Professorze!

Po sześciu latach rozstania, przyjmij szanowny mężu, jako słaby hołd mojej dla ciebie wdzięczności tę skromną pracę, którą u stóp twoich złożyć pospieszam. Z ojczyzny ulubionych twych wieszczów, przyjm kochany panie ten arkusz papieru, na tytule którego znajdziesz wydrukowane swe imię otoczone koroną z wawrzynu, na jaką w mojem sercu daleko więcej zasługuje, jak wielu niemi uwieńczonych. Niech pieśń ta, wyśpiewana pod wpływem tęsknoty do kraju i przyjaciół, uprzytomni panu niekiedy chłopca żydowskiego, któremu niegdyś ułatwiłeś wstęp do dziedziny poetów i myślicieli i przebudziłeś w nim to boskie pragnienie światła, które jest matką każdego wyższego dążenia.

Pisałem w przeszłym roku że zachęcony przez professora Wiez i kółko jego przyjaciół wydałem drukiem pierwszą moją kompozycję, która daleko lepiej przyjętą została przez tutejszy are-

opag muzyczny, niż się spodziewać mogłem. Od tego czasu skomponowałem już kilka większych prac, które mi zjednały niejaki rozgłos w świecie artystycznym, i otóż uczeń pański stał się człowiekiem, którego przyjmowano do najlepszych domów, którego znajomości szukano i którego nareszcie przed czterema miesiącami prowadzono do pięknego pałacyku około bramy Brandeburgskiej, gdzie Meyerbeer króluje wśród grona swych wielbicieli. A gdy stary maestro, który rzadko kiedy grzeszy zbytnią pobłażliwością dla młodych, do mnie powiedział: „powinienbyś tu wystąpić z wykonaniem własnych kompozycij“ — to takie jego słowo, wymówione w obec artystów, dygnitarzów państwa i innych znakomitości u niego zebranych, już równało się patentowi.

Dałem więc w skutek tego w przeszłym tygodniu pierwszy mój koncert w Akademii śpiewu, którego powodzenie przeszło wszystkie moje nadzieje. Z początku drżący i nieśmiały obiegłem okiem to zgromadzenie, które zawyrokować miało o mojej przyszłości. Uczułem nieopisaną trwogę, zaćmiło mi się w oczach, zaszumiało w uszach. Wszystkie te jarzące światła zlały się dla mnie w jedne ogromną kulę ognistą, szelest, wywołany wejściem dam do sali i ich rozmową, w jeden głos straszny jak trąba sądu ostatecznego wołający: „oddal się niegodny z tego miejsca uświęconego tylu wspomnieniami gienjuszu i sławy“. Ale z tego chaosu nareszcie oddzieliła się pierwsza myśl jasna. Ujrzałem obraz wszystkich moich dobroczyńców, poważne i ukochane oblicza doktorstwa, twoje, drogi panie,

Dalberga, Planera i Lanzerów i wszyscy oni pokazywali ręką na mój instrument, i wszyscy oni powtarzali twoje słowa, któreś niegdyś do mnie powiedział przy naszem pożegnaniu się: „Pamiętaj, że człowiek jest obrazem stwórcy na ziemi i przezto powinien tworzyć także według swojej możności“. Widziałem także obdartego i głodnego wygnańca z chederu, błąkającego się po ulicy bez nadziei jakiegokolwiek przytułku na nadchodzącą noc, i potem otworzyłem oczy na te świetne zebranie, które siedziało już tak cicho i czekało niecierpliwie pierwszego dźwięku z pod mojej ręki; poznałem opatrzność, która mnie wiodła po tej długiej drodze i ufny w Nią i w tę wewnętrzną siłę, którą we mnie wlała, uderzyłem w klawisze....

Obudziłem się dopiero na odgłos hucznych oklasków, któremi publiczność nagrodziła moją pierwszą sztukę. Po tej, już pewniejszy siebie, wykonałem resztę programu i po koncercie wszyscy mnie winszowali i kilku kolegów i recenzentów chętnie przyjęło kolację, którą im ofiarowałem za poradą professora Wiez.

Opisałem tak obszernie dzieje tego pierwszego koncertu, gdyż jak się zdaje będzie on w mojem życiu tą chwilą stanowczą, która rozdzieli je na dwoje. Z nim bowiem ukończyłem długie lata przygotowania się, zaczętego pod waszem przewodnictwem w S....., i odtąd wstępuję jako czynny człowiek do wielkiego społeczeństwa ludzkiego, któremu mam zapłacić zaciągnięte względem niego długi. A to społeczeństwo tyle dla mnie uczyniło, te długi są tak wielkie i róż-

norodne, że za mało może reszty pozostałych mi dni życia, aby się z nich wywiązać. Ale to pewna, że czas już zaczynać! . . . .

Jeszcze we dwa lata później.

Do Karola Lanzer w Warszawie.

Drogi Karolu!

W głębokiej samotności tylko dojrzewają owoce ludzkiego ducha—wydziela się z istoty człowieka ta wyższa jej część, którą nazywamy jego dziełami. Ale ledwie te porody ujrzały światło dzienne, a już domagają się ożywczego słowa współudziału od reszty świata. Wprawdzie świat ten niezawsze do podobnych utworów wyciąga miękkie ramiona matki. Podziwiamy teraz niejedno arcydzieło, na którem współcześni nie odrazu się poznali, ale co do mnie przekonany jestem, że jeśli ono przetrwało obojętność ogołu, jeśli twórca jego mimo braku uznania nie opuścił rąk, to pewnie miał przy swoim boku szlachetne serce niewieście, które go zrozumiało i na którego strunach słowa jego zadrgały harmonijnym dźwiękiem. A czemże jest poklask całego świata, czem wszystkie jego nagrody, obok tej jednej, gdy usłyszymy myśli nasze i uczucia wyrażone przez drogie nam usta, biorące na się niejako widomą postać ukochanej osoby, do której możemy powiedzieć z Adamem: „Tyś krwią krwi i duszą duszy mojej."

Otoż com sobie wczoraj mówił, słysząc przedziwny koncert Klary Schuman. Imię nieboszczy-

ka Roberta Schuman i u nas powszechnie jest znanem w świecie muzykalnym, ale za to mało kto zna imię jego wdowy. A jednak chcąc zrozumieć kompozycje męża, trzeba je usłyszeć wykonywanemi przez tę artystkę, która była muzą jego życia, trzeba w fizygonomji jej wyrazistej a pięknej jeszcze twarzy dobadać się tej duszy, która pojęła i uskrzydlała gienjusz męża, iż wzniósł się w te sfery, gdzie oko nasze z podziwieniem za nim spogląda.

Z moich listów i z gazet, wiesz już, drogi Karolu, o ogromnem powodzeniu moich kompozycij. A więc doszedłem już do tak długo i tak gorąco przezemnie upragnionego celu, a jestżem teraz szczęśliwym? Czemuż tak często wzdycham za temi chwilami, gdyśmy razem z Tobą i Reginką w Twoim pokoju rozmawiali o przyszłości? Wszak przyszłość ta stała się już teraźniejszością i dotrzymała wszystkich obietnic, jakie mnie niegdyś uczyniła i więcej daleko. Czegoż chcesz jeszcze, niespokojne serce moje? Czemuż wśród tych świetnych towarzystw Tobie, bracie mój, zazdroszczę skromnego domu rodzicielskiego, słodkiej siostry i narzeczonej, o której mi piszesz z takim zachwytem? Czemu? Bo wśród licznych tutejszych przyjaciół i kolegów niema mojego brata Karola, bo wśród licznych pięknych ust, które mnie chwalą, nie widzę żadnych, z którychbym sobie życzył otrzymać słowa przyjaźni czy miłości, z których pragnąłbym pocałunku siostry lub kochanki. Koledzy moi utrzymują, że mam szczęście do kobiet; ale ja nie chcę dojść, czy oni prawdę mówią, ja nie chcę kochać i być

kochanym w myśli tych kolegów, bo ja rozumiem tylko miłość jedyną w życiu, miłość wyższą nad chwilowy urok, która wypełnia całą duszę człowieka, która pochłania wszystkie małostki jego natury i nie cierpi obok siebie tylko myśli wielkie i czyste, jak ona sama. A ta miłość już nie dla mnie, gdym zmarnował pierwociny mego serca dla kobiety, która niemi pogardziła, która jak dziecko lekkomyślną ręką poobrywała białe listki kwiatu, nie domyślając się bynajmniej, że niszczyła w zarodzie soczysty owoc, przeznaczony do orzeźwiania kiedyś spieczonych ust wędrowca wśród pustyni.

Przebacz, drogi bracie, ten żal samolubny, i nie myśl, abym mógł zapominać na chwilę, że mam w Was serca kochające, które mnie pojmują. Listy Twoje są dla mnie nieprzebranem źródłem pociechy, ale nie są jeszcze Tobą, a ja tak pragnąłbym rzucić się w Twoje objęcia, przytulić strudzoną głowę do Twojej wiernej piersi i ujrzeć, choć raz jeszcze, oblicze szanownych Twoich rodziców, tego anielskiego dziecka, siostry Twojej, i tej drugiej nieznanej jeszcze siostry, która tak uszczęśliwia mego Karola. . . . . .

XXVII.

Regina.

Z przytoczonych tu czterech listów Dawida,— wybranych z pomiędzy liczby pisanych przez niego, w przeciągu dziewięcioletniej bytności jego w Berlinie, do przyjaciół jego w Warszawie

i mieście S....., widzieliśmy, jak bohater nasz doszedł nareszcie do tego punktu, gdzie uzyskawszy uznanie ogółu, miał przed sobą zabezpieczoną już przyszłość, znaczenie i sławę europejską. Widzieliśmy jak potok tego gienjuszu,— którego pierwszego poruszenia oko nasze doślesdzić potrafiło w dziecinnej jeszcze duszy, niby tajemne źródło w niedostępnej rozpadlinie skał, przeskakując lub krusząc napotykane po drodze przeszkody,—stał się nareszcie ową szeroką rzeką, oblewającą wspaniałe stopy zamków i miast. Widzieliśmy fale jego, na chwilę zmącone, ale pomne na swój początek z białego śniegu wierzchołków, prędko oddzielające od siebie wszelkie mniej czyste dodatki. Ale widzieliśmy także, jak wśród bogatej stolicy tęsknił jednak za błękitem swych rodzimych gór, a może i za piękną łanią, która tam swą postać przeglądała w krysztale ich strumieni.

Dalsze listy Dawida o coraz większych opowiadały tryumfach w podróży artystycznej do Paryża, gdzie kompozycje jego przyjęto jak najsympatyczniej, i o uzyskaniu za powrotem posady nadwornego pianisty jednego z królów niemieckich, wraz ze znaczną pensją, ale coraz wyraźniej odbijały boleść osamotnionego serca, na którem szczęście niepodzielone ciężyło głęboką melancholją. Tak stały rzeczy, gdy Dawid otrzymał list z Warszawy, donoszący mu o nastąpić mającem za dni dziesięć weselu Karola. W liście tym pani Lanzer pisała: „Gdybyś pan teraz, gdy jestesmy wśród lata, opuścić mógł na jakiś czas swoje Niemcy, gdzie jak widzę z Jego listów

niezupełnie czujesz się szczęśliwy, tobyśmy się bardzo ucieszyli, witając pana wśród przyjaciół i ojczyzny, w tym dniu tak dla nas uroczystym".

Dawid kilka razy przeczytał te słowa, oraz dopiski Karola i Reginki, tchnące także serdecznem uczuciem, które niegdyś pomogło do uzdrowienia chorej jego duszy. Dla czegoż nie miałby usłuchać głosu przyjaźni? Dla czegoż widok przyjaciół i kraju nie miałby mu powrócić spokoju, którego tu nadaremnie szukał?

Zaledwie powziął ten zamiar, gdy z gorączkowym pośpiechem wziął się do jego wykonania. W przeciągu tygodnia poczynił wszystkie potrzebne przygotowania, a we dwa dni przed terminem już siedział w wagonie, udając się do Warszawy. Nie uwiadomił jednak o tem państwa Lanzer i mimo swej niecierpliwości, przybywszy w nocy, zajechał do hotelu, zkąd na drugi dzień, który był przeznaczonym na uroczystość ślubną, we fraku już i białych rękawiczkach poszedł do mieszkania swoich przyjaciół.

Służąca, która go nie znała, wiedząc, iż pan młody jeszcze nie ubrany, poleciała do pokoju z oznajmieniem, że goście się już schodzą.—A pani Lanzer zdziwiona, ktoby to mógł przyjść do nich o tak wczesnej godzinie, wchodząc do pierwszego pokoju, ujrzała nieznajomego sobie mężczyznę, który przybliżył się do niej i, pocałowawszy ją w rękę, rzekł:

— Przyszedłem spytać się pani, czy się dzisiaj nie spodziewa jakiego gościa z Berlina?

Głos ten i słowa uderzyły staruszkę, która

z powodu osłabionego już trochę wzroku nie mogła poznać rysów pytającego, ale gdy młodzieniec podniósł głowę, mówiąc drżącym głosem:

— Nie poznajesz że pani Dawida?—otworzyła już swe ramiona i uścisnęła w nich poznanego artystę.

Wkrótce nadszedł sędziwy pan Lanzer i Karol. Trudno opisać ich radość. Reginki nie było w domu, bo nocowała u panny młodej, chcąc sobie wzajemnie z nią dopomagać w dzisiejszej toalecie. Karol doradził nie oznajmić jej o przybyciu przyjaciela, aby zobaczyć, czy go pozna. Dawid musiał więc czekać aż uda się razem z panem młodym do weselnego domu. Temczasem siedział przy Karolu, w tymże samym co dawniej pokoiku, ale nie rozmawiali już o przyszłości, bo przyszłość dla Karola była to już jedna tylko godzina później, gdy los swój na zawsze połączy z losem ukochanej, a Dawid szukał jej przepowiedni w zagadkowych dlań jeszcze wspomnieniach przeszłości, które miejsce to coraz żywiej mu przedstawiało.

Przyszła nareszcie ta upragniona chwila, gdy czekającym w godowym salonie młodzieńcom ukazała się panna młoda w gronie dziewic. Któraż z nich była Reginką? Gdy Karol przedstawił swego przyjaciela narzeczonej, mówiąc: „oto mój aniele, przyjaciel mój pan Rothman, o którym tyle ci mówiłem, przyjechał wczoraj naumyślnie na nasze wesele”—to jedna z białych postaci zachwiała się i byłaby upadła, gdyby stojący obok niej Dawid nie zdołał ją zatrzymać. Rozkoszne przeczucie owładnęło sercem młodzieńca.

W tej wysmukłej a pełnej jednak postaci, w tej kobiecie tak pięknej, która przez chwilę drżała w jego objęciach, nie poznawał jeszcze bladej Reginki, ale te ciemno-szafirowe oczy, które się teraz otworzyły i spotkały jego błyszczące wejrzenie, mogły być tylko owemi gwiazdami, które czasami w snach swoich widywał.

Młoda dziewica prędko się uwolniła z rąk Dawida, rumieniec pokrył alabastrowe czoło, a Karol wesoło zawołał: „Otoż zapłaciłem ci Regino, za to, żeście się dziś rano zamknęły w swoim pokoju i nie chciały mnie wpuścić i zatrzymałem Dawida przez cały dzień u siebie. Wet za wet.”

Mamże wam teraz opisać, czytelnicy moi, obrzęd zaślubin, czy nastąpioną po nim zabawę weselną? Widzieliście już pewnie wystawniejsze bale, choć wątpię czy więcej szczerej radości.— Że ta ostatnia jednak właśnie opisać się nie da, powrócę więc do naszego Dawida, który przez cały wieczór nie odstępował prawie panny Reginy.

Po tylu latach rozłąki, była to jakby nowa znajomość, a jednak wywołała ona tłumnie w Dawidzie, na wpół zapomniane wrażenia ubiegłych czasów. Przeszłość i teraźniejszość składały się dla niego na chwile słodkiego szczęścia, kiedy w ciągu rozmowy zwracał wzrok zachwycony na młodą dziewicę, lub objąwszy delikatną jej kibić puścił się z nią w wir tańca.

Być może, że dla tego Dawid w tak żywych kolorach odmalował Reginie swój pobyt w Berli-

nie, te trudności i cierpienia nieodłączne od zawodu artysty, które i jego nie minęły,—choć nie uważał za godne siebie wspominać o tem w listach do swoich przyjaciół. A gdy mówił o tych późniejszych latach, gdy znalazł wprawdzie sławę ale nie znalazł serca, o tych gorzkich nieraz chwilach osamotnienia wśród obcych, kiedyby wszystko oddał za jedne uściśnienie ukochanej ręki, nie byłoż to naturalnem, że Regina wtenczas wyciągnęła doń swą białą rączkę, którą Dawid do ust swych przycisnął? Ale dla czegoż rączka ta zadrżała pod pocałunkiem młodzieńca? Otoż co Dawid nie wiedział jeszcze, ale gdy nad świtem odprowadził pannę Lanzer do ich domu, to w duszy jego obraz młodziutkiej Reginki rozpływał się już coraz bardziej przed blaskiem cudnej rzeczywistości.

Z dawnych swoich znajomych Dawid mało kogo zastał w Warszawie—poczciwy Dalberg już nie żył, a ówczesnych jego uczni czas rozproszył na wszystkie strony. Doktor Braunthal tylko, mimo swych lat pięćdziesięciu i wielkiej tuszy, dotąd nie stracił humoru i, rzecz szczególna, Dawid chętnie teraz z nim rozmawiał. Chłodne uwagi doktora o ludziach nie odstręczały go jak dawniej. Nie dla tego, aby miał z niemi sympatyzować,—nigdy może nie był więcej oddalonym od stanowiska Braunthala—ale życie nauczyło go już sprawiedliwości dla wszystkich przekonań i charakterów, choćby one były wręcz przeciwne jego własnym. W prozaicznym poglądzie doktora Dawid cenił teraz bogate doświadczenie, a w sercu jego poznał szczere i bezinteressowne

dla siebie przywiązanie—za które, jak czuł, dotąd mało okazał wdzięczności. Od doktora Dawid dowiedział się także o losach Leontyny. Mąż jej, straciwszy cały majątek przez rozrzutne życie i spekulacje giełdowe, niedawno zbankrutował i uciekł do Ameryki, zostawiając żonie tylko rozwód i długi, ale piękna rozwódka prędko się pocieszyła i wkrótce wejść miała w powtórne związki.

Nowych znajomości Dawid unikał. Chcąc jak najprędzej udać się do rodzinnego miasta S... dla widzenia się z doktorstwem, żałował każdej chwili dla obojętnych i z wyjątkiem bankierów, którzy dawniej go wspierali i dla których miał obowiązki wdzięczności, nigdzie prawie nie bywał, za to dniami całemi przesiadywał u państwa Lanzer, albo raczej przy ich córce, która coraz stawała mu się droższą.

Nie sama bowiem tylko zewnętrzna piękność Reginy tak uroczo się rozwinęła. Tak pogodnem i jasnem jak to oko jest też i każdy jej wyraz, świadczący o istotnej samodzielności ducha. Widać, że przywykła patrzeć na świat zdrowo i z rozwagą, choć niemniej przeto ze szlachetnem uczuciem niewieściem. Dawid wiele w Berlinie poznał kobiet słynących z wdzięków i rozumu, ale nigdy sobie nie powiedział jak teraz, że taką musi być kobieta przeznaczona od Boga do pomocy dla mężczyzny, że taki tylko umysł zdolnym jest towarzyszyć mu,bez zmęczenia się, w drodze życia i sztuki. W mistrzowskiej grze Reginy poznawał coraz bardziej intuicję artystki i coraz więcej widział w młodej dziewicy ową

upragnioną od tak dawna siostrę swego serca i swego geniuszu.

Czy i Regina go kochała? Prawdziwa miłość rzadko dodaje śmiałości i zaufania w siebie, choćby i trzydziestoletnim kochankom, i Dawid długo o tem wątpił. Dopiero w dzień przed zamierzonym wyjazdem do S....., zastawszy ją samą w pokoju i widząc łzę w jej oku, wyciśniętą pewnie myślą o bliskiem rozstaniu, nie był już dłużej panem swych uczuć i w tych porywających słowach, jakie człowiek w rzadkich tylko chwilach znaleść jest w stanie, wyznał jej swą miłość i prosił o oddanie mu serca i ręki.

Regina długo nie odpowiadała, ale wzruszenie, odbijające się na jej pięknej twarzy, było dostateczną już odpowiedzią.

— Bądź moją, droga, ubóstwiana Regino! błagał Dawid.

— Nie byłamże nią od chwili, gdym Cię przed dziewięciu laty spotkała w naszym domu?

— Czy to być może, Regino! aniele! Tybyś mnie kochała od tamtego czasu i czekała dotąd mojego powrotu?

— Nie mogę tego powiedzieć, bo nigdy nie miałam nadziei oglądania ciebie, a zanadto byłam młodą gdyś odjechał, abym moją boleść wówczas już nazwać mogła miłością. Ale chciwie i z rozkoszą czytałam wszystkie twoje listy do nas, zachwycałam się wielkością objawionego w nich serca i umysłu; nie znajdując nic podobnego w ludziach, którzy się dotąd starali o moją rękę, wolałam zostać starą panną.

— A teraz?

— Z ufnością kładę moją rękę w twą dłoń ukochaną, bo czuję w sobie iskrę tej świętej miłości, która potrafi nietylko pokrzepić cię w pracy ducha, ale i ulżyć ci ciężaru codziennych trosk życia.

— A więc jesteś moją, moją na wieki!!..

Epilog.

Znowu jak na początku naszej powieści, jesteśmy w powiatowem mieście S.... ale czternaście lat, to kawał czasu, a więc i tutaj znajdziemy niejakie odmiany. Uliczki żydowskie są poczęści porządnie wybrukowane. Szereg nowozbudowanych piętrowych kamienic uderza nas nieznaną tu dawniej symetrją, a nawet na fasadzie jednej z tych kamienic wyczytać można napis: „Szkoła elementarna dla dzieci wyznania mojżeszowego.“ Z zadziwieniem patrzymy na niektóre okna ozdobione białą firanką lub zielonym liściem swojskiego bluszczu, po za któremi wyglądają teraz główki młodych dziewcząt lub poważniejsze starszych kobiet. Przedmiotem tej ogólnej ciekawości jest idące w tej chwili ulicą małe towarzystwo. Składa się ono z dwóch dam, z których starsza oparta jest na ramieniu młodszej, dziwnie pięknej blondynki, i z trzech mężczyzn: z dorodnego średniego wzrostu młodzieńca, wysokiego mężczyzny w sile wieku i z sędziwego starca.

—Zaledwo wierzyć mogłem oczom swoim ,wjeżdżając przez tę ulicę—mówi młodzieniec, w którym poznajemy naszego Dawida—tak dalece teraźniejszy jej charakter odmiennym jest od dawniejszego, i gdyby nie ludzie, których spotkałem

i którzy po części przynajmniej wyglądają jak dawniej, myślałbym, żeśmy zamiast do S..... zajechali gdzieindziej.

— A jednak w jej mieszkańcach, odmiana w gruncie jeszcze nie jest tak wielką—odrzecze na to wysoki mężczyzna—ale cieszę się i z tego, co się dotąd zrobiło, w nadziei, że czas bez naszej pomocy reszty dokona.

— I masz zupełne prawo cieszyć się doktorze—odpowiada staruszek—bo wielkiego potrzeba było z twej strony poświęcenia, aby się w początku nie zrazić krzykami twoich współwyznawców i nie zaniechać zaczętych raz reform.

— Ale i pomocy tak światłego pedagoga jak ty, panie Professorze, aby naszych żydówskich uliczników przerobić na pilnych uczni i przyzwyczaić do porządku.

— Zresztą myśmy zrobili swoje, ale czas, nowoprzeprowadzona kolej żelazna, równouprawnienie, zrobili więcej jak my i będą jeszcze działać, kiedy my już dawno odpoczniemy w grobie.

— Ja jeden tylko tak mało dotąd uczynić mogłem dla swoich braci—mówił Dawid z żalem—otoż za tydzień znowu wyjeżdżamy do Niemiec i kto wie, czy kiedykolwiek powrócę?

— Nie bądź niesprawiedliwym dla siebie samego, mój synu!—odpowiada doktor z powagą. Jest to powinnością każdego człowieka pracować dla polepszenia bytu swych bliźnich, ale gdy z czasem owoce naszéj pracy dojrzeją, gdy światło opromieni wszystkich naszych współrodaków—bez różnicy stanu i wyznania—to wtenczas pieśni twoje będą własnością ich wszystkich i każda chwila radości czy wzniesienia się duchem, którą im przyniosą, będzie twojem dziełem!

— To ten sam Dawid *dem szames*—mówi żyd siedzący przed małym kramikiem korzennym, pokazując palcem na przechodniów — którego tu wszyscy pamiętamy jeszcze jako obdartego Besmedresznika, a teraz podobno wyszedł na wielkiego pana.

— Słyszałam, że się ożenił z księżniczką—mówi jego żona—patrzcie jaka ładna.

— Ci apikojresy zawsze mają szczęście, gdy tymczasem my i westchnienie, mało może pochlebne dla wdzięków połowicy, wydobyło się z piersi kramarza.

— Ot gadacie, nie wiedząc co—odzywa się stojący obok młodzieniec. Ja wiem lepiej, że to żydówka choć tak piękna i dobra jakby jaka księżniczka. To oni ofiarowali dwieście rubli na założenie żydowskiej ochronki i wczoraj byli z naszym kantorem na cmętarzu, gdzie ten pan Dawid kazał wystawić piękny pomnik dla zmarłych swych rodziców. A jak się pobożnie modlili na grobach, gdyśmy śpiewali „El mole rachmim“ (nabożeństwo za duszę zmarłych)! i jeszcze każdemu z nas śpiewaków dali po rublu—zaraz znać żydowskie serca!

— Tobię widzę bardzo się podobali,—odpowiada kramarz.—Ty i tak już jesteś jednym z nowomodnych i gdybyś nie był za starym, pewniebyś się dał zwerbować do nowej szkoły, co to ją ten doktor założył, aby wszystkich przerobić na swoje kopyto. Boże się zmiłuj! co się teraz u nas dzieje! chyba Messjaszowe czasy!

KONIEC.